

Et. Józierski

POTOMEK
HETMAŃSKI

Tom III

A decorative flourish consisting of a horizontal line that curves downwards and then spirals inwards, ending in a small leaf-like shape.

POTOMEK HETMAŃSKI

POTOMEK HETMAŃSKI

OPOWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z ROKU WOJNY 1812.



PRZEZ

EDMUNDA JEZIERSKIEGO.

TOM III.

Dodatek do «N. Świata»
za Marzec 1912 r.

WARSZAWA
NAKŁADEM MICHAŁA ARCTA
i «NASZEGO ŚWIATA»



45640/3

Drukarnia M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3.
1912

K-86/77/89 67804

XII.

W Moskwie.

Znalazłszy się na wzgórzu, armja francuska powstrzymała oddech w piersi z radości i z zachwytu.

W chwilę potem rozbrzmiały oklaski i z tysięcy piersi wyrwał się okrzyk radosny:

— Moskwa! Moskwa!...

A tuż przed nimi, w promieniach wrześnie-
wego słońca, na znacznej przestrzeni rozście-
łało się miasto, strzelające ku niebu różno-
barwnymi kopyłami swych 295 cerkwi. Przed
oczami przybyszów z Zachodu roztaczał się
ten gród nawpół wschodni, lśniący w słońcu,
ze swymi pałacami, z Kremlinem, błyszczącym
w powodzi blasków, jakby gród jakiś z tysią-
ca i jednej nocy.

Na drodze, wiodącej z miasta, widać było
cofające się oddziały Rosjan.

Napoleon, na siwym swym rumaku, przemknął przed stojącymi w zachwycie szeregami, a zatrzymawszy się na szczycie wzgórza, zeskoczył z konia i patrząc na rozścielającą się u stóp jego stolicę, o zdobyciu której marzył, nie mógł powstrzymać okrzyku radości:

— Oto jest wreszcie to sławne miasto!

A po chwili dodał cicho do siebie:

— Czas już wielki...

A tymczasem Murat, dążący na czele konnicy zbliżył się do bram miasta.

Lecz tu spotkali go wysłańcy dowodzącego tylną strażą rosyjską generała Miłoradowicza, którzy oświadczyli mu kategorycznie:

— Miasto zostanie podpalone, o ile nie otrzymamy czasu na opuszczenie stolicy!

Murat przystał na ten warunek i posunawszy się po za przedmieście, wpadł w tłum cofających się kozaków.

Obie armje pomieszały się i Murat otoczony został przez kozaków, którzy poznali go, i wnet głośno wyrażać zaczęli podziw dla jego odwagi i męstwa.

Pysznił się tem Murat, nadymał wargi i było widocznem, że jest wielce rad z tego uznania i podziwu nieprzyjaciela.

Zabrał też oficerom swoim zegarki i rozdał je kozakom.

Ustąpiły wreszcie wojska rosyjskie i do miasta poczęły wkraczać wojska zwycięzców.

Na czele ich szły zastępy polskie. Huzarzy polscy wraz z ułanami pruskimi rozpoczęli ten pochód, a za nimi dopiero kroczyły oddziały jazdy francuskiej.

Polacy ze wzruszeniem wkraczali do tego miasta, które przed 200 laty znajdowało się w rękach ich dziadów, po ulicach którego deptały już stopy polskich zwycięskich wojowników, których potomkowie wchodzili znów zwycięsko pod sztandarami wielkiego Napoleona.

A on tymczasem, zatrzymawszy się na panującym nad miastem wzgórzu, oczekiwał przybycia deputacji mieszkańców stolicy, oddających mu miasto, składających mu klucze.

Tak bywało pod Wiedniem, Berlinem i tyłu, tylu innymi miastami.

Lecz czekał napróżno!

Zawezwał więc do siebie generała Daru i rozkazał mu:

— Jedź do miasta i przyprowadź mi bojarów!

Generał skłonił się i pomknął z kopyta.

Wpadł w ulice miasta, lecz było na nich pusto i głucho. Ani żywej duszy nie było na nich widać. Domy pozamykane, opuszczone, sklepy na moc zabite, wszystko tchnące pustką, martwością...

Generał Daru napróżno je przebiega, poszukując owych bojarów, owych dygnitarzy miasta

i państwa, którzyby mogli złożyć hold zwycięzcy.

Dojrzał wreszcie kryjące się w zaułku jakieś postacie ludzkie. Dopada do nich, lecz po chwili cofa się z wyrazem zawodu na twarzy... to nędza, to najubożsi mieszkańcy, którzy nie mieli na to, by usunąć się ze stolicy.

Mknie więc dalej. Na ulicach ukazują się już pierwsze szeregi wkraczającej do stolicy armji francuskiej. A nigdzie nie widać witających ich mieszkańców, nigdzie nie widać nawet ciekawych. Miasto, zda się, zamarło całe, wyludniło się..

Wreszcie na jednym z placów bystre oko zaufanego powiernika cesarskiego dostrzegło kulącą się gromadkę ludzi, ubranych dość przyzwoicie, o twarzach wystraszonych.

General, uradowany tem spotkaniem, pomknął ku nim i osadziwszy przed nimi konia, zapytał gromkim głosem:

— Kto wy jesteście?

A na to wystąpił z tej gromadki jeden ze starszych mężczyzn i czystą francuszczyzną odzwał mu:

— Ekscelencjo! jesteśmy gromadką rzemieślników i artystów, których pogoń za zarobkiem zapędziła aż tu, do tej dzikiej krainy z naszego pięknego Zachodu, z Francji, Niemiec i Włoch.

Wyraz zawodu odbił się na twarzy generała.

— A gdzie są mieszkańcy miasta? — zapytał.

— Ekscelencjo! — brzmiała odpowiedź — dawno już szykowali się do wyjazdu, a przed paru dniami, gdy rozeszła się wieść o przegraniu bitwy pod Moskwą, gromadnie opuścili miasto.

General Daru przez chwilę namyślał się... Cesarz kazał mu przyprowadzić bojarów. Lecz skądże ich weźmie? skąd?... kiedy już dawno opuścili oni miasto. Ha, należy mu chyba poprowadzić tych mieszkańców, jakich znalazł. Niech z ich ust dowie się cesarz prawdy.

Zwrócił się też do nich i rzekł:

— Chodźcie za mną!

Stłoczyli się wnet cudzoziemcy i bojaźliwie, z trwogą oglądając się na wszystkie strony, ruszyli za nim. I wiódł ich general Daru na wzgórze Zbawiciela, gdzie czekał na nich cesarz.

Jednocześnie prawie, przy dźwiękach Marsyljanki, wkraczały do miasta kolumny wojsk francuskich.

Stanąła przed cesarzem owa niby deputacja mieszkańców i wyraz gniewu przebiegł po twarzy Napoleona.

Nie takiego spodziewał się przyjęcia, w milczeniu też wysłuchał przemówienia owej niby deputacji i nie rzekłszy do niej ani słowa, odwrócił się plecami.

Wkrótce potem oficer polski z korpusu księcia Józefa Poniatowskiego przyprowadził jakiegoś jegomościa, w czarnym fraku, z gwiazdą orderu św. Włodzimierza na piersi. Był on tak przestraszony, że z trudem zdołał wybełkotać jakieś słowa bez związku.

Tymczasem miasto zapełniało się coraz bardziej wojskiem. Naraz w jednym z zaułków rozległy się donośne strzały.

To garść mieszkańców ostatnim wysiłkiem chciała bronić świętej stolicy. Złudzeni podobieństwem generała Sebastianiego do cesarza, wymierzili do niego stare fuzje i pistolety, pochwycone z arsenału. Rozległ się huk strzałów i kule ze świstem przeleciały nad głowami wkraczających Francuzów.

Lecz nie mieli czasu powtórzyć swych rozpaczliwych wysiłków: jeźdźcy francuscy rzucili się na nich z obnażonymi szablami i w jednej chwili zarąbali.

Prawie że w jednym czasie wkraczał przez rogatki kałuskie 5-ty korpus księcia Józefa Poniatowskiego.

Szeregi szły w największym ładzie i porządku, z rozpuszczonymi sztandarami, z muzyką na czele.

Na twarzach żołnierzy znać było inne zupełnie uczucia, niż na twarzach Francuzów.

Podczas gdy u tych przeważała ciekawość

i chciwe wyglądanie łupu, Polacy szli ze skumpieniem i wzruszeniem.

Korpus doszedł już prawie do środka miasta, gdy naraz na jednej z przyległych ulic rozległo się donośne bicie w bębny. Kapitan Garliński z oddziałem swoim poskoczył w tamtą stronę i ujrzał dążący ulicą oddział żołnierzy rosyjskich, kierujących się ku Kremlinowi.

Posunął się ku nim i zbliżywszy do prowadzącego oddział komendanta, zatrzymał przed nim swój oddział i zawołał dźwięcznym głosem:

— Poddajcie się!

Rosjanie zatrzymali się i pełnymi zdumienia oczami patrzeli na stojących przed nimi wojaków.

Nie mogli zrazu zrozumieć, skąd się w Moskwie, dla obrony której dążyli, wzięły obce wojska. Dopiero widok wymierzonej ku nim broni, gotowość do ataku, wróciły im przytomność i komendant, widząc, że opór byłby daremny, wznosił szpadę do góry i oznajmił:

— Poddajemy się!

Wyjaśniło się, że bataljon ten złożony był z nowozaciężnych i przybył z Kaługi do Moskwy.

Nie wiedząc nic o zajęciu stolicy przez Francuzów, dążyli naprzód, do Kremla.

Kapitan przeprowadził jeńców tych do księcia Józefa, który znów polecił adjutantowi

swemu, hr. Heljodorowi Skórzewskiemu, doprowadzić ich do marszałka Davoust.

Do wieczora prawie wkraczały do miasta różne oddziały wojsk, rozkładając się w niem, lub też zostając poza rogatkami.

Cesarz nie wkroczył dnia tego do Moskwy. Zanocował tylko przy rogatce Dorogomiłowskiej, a marszałkowi Mortier powierzył zarząd miasta.

Tegoż jeszcze dnia wysłał do Petersburga, do cesarza Aleksandra, jednego z rannych oficerów rosyjskich z propozycją pokoju.

Nadciągali też z miasta pozostali w nim Francuzi i wszyscy jednogłośnie utrzymywali:

— Hrabia Rostopczyn przygotował wszystko do pożaru Moskwy... miasto ma bezwarunkowo uleść spaleni, tak, że w niem kamień na kamieniu nie pozostanie.

Opowiadanie to ich potwierdził i jeden z Rosjan, ujętych w mieście.

Noc zapadła... Wojska francuskie rozbiegły się po mieście rabując i grabiąc wszystko, co się dało, przepływając po ulicach hałaśliwemi falami.

Korpus księcia Józefa stanął w pobliżu miasta, oficerowie zaś zajęli domki, położone tuż nieopodal Kremlu i dzielnicy kupieckiej.

Trzej przyjaciele zajęli wspólny pokój i z ulgą odetchnęli, mogąc wreszcie po tak strasznych trudach i wysiłkach rozebrać się i rzucić

na łóżka, porządne, przyzwoite, zasłane pościelą.

Nie sądzonem jednak im było spać długo tej nocy.

Już było dobrze po północy, gdy naraz poczuli, że ktoś ciągnie ich z całej mocy za ramiona.

Nie otwierając oczu otrząchnęli się, postanawiając sobie spać dalej.

Lecz szarpanie nie ustawało i jednocześnie czyjś głos energiczny wołał:

— Panowie oficjery! a dyć wstawajta, a żywo, a toć gore!

W głosie tym poznali ordynansa swego, Cienciare, pocziwego Mazura.

Otworzyli wreszcie oczy i w jednej chwili porwali się z łózek.

Cały pokój zalany był krwawem światłem, wdzierającym się przez okna.

Na niebie widać było olbrzymią, krwawą łunę, rozlewającą się szeroko, przerywaną kłębami czarnego, gęstego dymu.

Ubrali się śpiesznie i wybiegli na ulicę. Panował tam gwar, krzyk, hałas trudne do opisanie. Tłoczyli się tam żołnierze różnej broni, otaczając parę płonących domów w dzielnicy kupieckiej.

Uwijali się przy gaszeniu ich grenadjerzy kierowani przez marszałka Mortier.

Wśród tłumu krążyły różne wieści co do

przyczyny pożaru. Jedni mówili, że to Rosjanie podpalili owe domy, byli też i tacy, którzy utrzymywali, że to żołnierze francuscy zaprószyli ogień przy rabunku.

O świtaniu wreszcie udało się pożar opanować, tak, że gdy przed południem cesarz Napoleon wjechał do miasta, nie było go nawet i śladu.

Cesarz zamyślony jechał ulicami grodu, o zdobyciu którego marzył. Smutny, skierował się ku Kremlowi, o posiadaniu którego roił...

Zawiodły go rachuby. Pewien był, że po zwycięskiej bitwie pod Borodinem przyjmie go tłum upokorzonych dygnitarzy i mieszkańców stolicy, że z wyżyn Kremlinu dyktować będzie warunki cesarzowi Aleksandrowi. Warunki pokoju korzystnego dla siebie, a pełnego wspaniałomyślności dla zwyciężonych.

A tymczasem miast tego spotyka w mieście samą pustkę, straszną pustkę, jakby dzuma wymiotła wszystkich mieszkańców z niego, a na przywitanie łuna pożarów rozjaśnia niebo.

Zwątpienie jakież zakradło się do serca jego i poczęło go dręczyć.

Jakież będzie dalszy wynik tej kampanji?

Dręczony temi uczuciami wjechał do Kremlinu i szerokimi, marmurowymi schodami udał się do wnętrza.

Dzięki wcześniejszym zarządzeniom udało ono uniknąć rabunku. Postawione zawczasu straże uchroniły je od tego, lecz i tak z przepysznych, wspaniałe urządzonych sal wiało pustką i chłodem.

Gubernator Moskwy, hrabia Rostopczyn, przewidując wkroczenie zwycięzców, nakazał zawczasu wywieźć z pałacu wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek większą wartość.

Cesarz śpiesznie przebiegał salę po sali, przyglądając się im.

Ha, jest więc nareszcie w świętym Kremlu... Teraz cesarz Aleksander musi przystać na pokój!

I udawszy się do komnat swoich, przywołał wnet swego sekretarza, Mennerala i polecił mu napisać list do cesarza Aleksandra z propozycją pokoju.

Z listem tym wysłał jednego z adjutantów.

Gorączkowo zabrał się do pracy. Wydał rozkazy co do rozstawienia korpusów, tak, ażeby na wszelki wypadek były gotowe do pochwylenia za broń, w razie, gdyby Kutuzow z siłami swymi chciał ich atakować.

Do późna w noc naradzał się z marszałkami i wreszcie około północy położył się spać.

Spał niedługo... Wkrótce potem obudził go jakiś gwar niezwykły, jakież głosy zmieszane, jakież krzyki, jakby bicie w dzwony.

Otworzył oczy i porwał się na nogi, wspinałą komnatę nappełniało dziwne jakieś światło... W progu stał kamerdyner.

— Constant! czy to już dzień?

— Nie, najjaśniejszy panie—brzmiała odpowiedź—to łuna pożaru!

— Łuna pożaru? — powtórzył Napoleon ze zdumieniem—a gdzie się pali?

— Pożar początkowo wybuchł w gmachu giełdy, a wkrótce potem rozszerzył się na inne budynki, tak, że dosięgnął Kremlinu.

— Ubierz mnie!—rzucił rozkaz Napoleon.

Kamerdyner dopomógł cesarzowi do ubrania się i tenże podszedł do okna, które już powoli poczęły lizać ogniste języki.

Płonące miasto przedstawiało straszny, imponujący widok, i mimowoli z ust Napoleona wyrwał się okrzyk:

— Jakiż to straszny obraz! Tyle pałaców! Cóż to za nadzwyczajne postanowienie! Jacyż to ludzie!

A pożar szerzył się dalej i dalej, obejmując coraz to inny budynek.

W przyległej komnacie dał się słyszeć gwar zmieszanych głosów i po chwili do cesarza wszedł wice-król włoski, ks. Eugenjusz, a za nim Murat i marszałek Berthier.

— Najjaśniejszy panie, uchodź stąd! — zawołali od progu — niebezpieczeństwo grozi straszne! Tylko patrzeć, a Kremlin zacznie

płonąć! A tu, w pobliżu, znajduje się skład prochu oraz naboje do dział.

Lecz Napoleonem owładnęła jakaś dziwna determinacja.

— Nie, nie pójdę stąd! — rzekł silnym głosem — zginę tu, a nie ustąpię! Niech gwardja broni płomieniom przystępu.

A wtedy ci trzech dostojnicy, którzy jemu zawdzięczali swe wyniesienie i od którego cała ich moc i potęga zależały, ugięli przed nim kolana, mówiąc:

— Najjaśniejszy panie! Nie narażaj niepotrzebnie życia swego. Wiedz, że armja cała, Francja, Europa go potrzebuje. Usłuchaj prośby naszej i wyjdź stąd!

Cesarz dał się wreszcie nakłonić i wyszedł z gmachu, na którym dach zaczął już płonąć.

Straszna to była droga. Prowadzony przez wierną gwardję szedł Napoleon małą galerją podziemną w stronę rzeki Moskwy.

Ciasną i krętą uliczką, między dwoma szeregi płonących domów, zasypywany gradem iskier, szedł po ziemi ognistej, między dwoma ścianami ognia, pod niebem, płonącym łuną.

Z trudem przybył do zamku Petrowskiego, gdzie już czekały przygotowane dla niego komnaty. Nie legł już dnia tego na spoczynek, tylko stojąc przy oknie, patrzył na rozciągające się przed nim morze płomieni, trawiących miasto.

A z ust jego padło ciche:

— To przepowiada nam straszne nieszczęścia...

Pięć dni prawie trwał ten pożar olbrzymi, pięć dni rozpętane masy żołnierstwa oddawały się rabunkowi.

Wszystko co było najcenniejsze w Moskwie zagarnęli zwycięzcy, czego zaś zabrać nie mogli, niszczyli, palili.

Dyscyplina w szeregach rozluźniła się tak, że szeregowcy w niczem nie chcieli słuchać swoich oficerów.

Drogie materje, futra, kołdry, szły na użytek obozowy w barakach, srebrne naczynia i kosztowności walały się wszędzie. Żywności było wbród. Mięso, wędzone ryby, łososie, jesiotry, stokfiszę stale napełniały kotły; wina, araki, likiery, wódki lały się strumieniem.

Żołnierze mieli wszystko, co im było potrzebne, a nawet i więcej.

Sprzyjało też temu i chwilowe zawieszenie broni, tak, że rabunku mogli dokonywać swobodnie, nie niepokojeni przez nieprzyjaciela.

Przytem zaginął zupełnie ślad jego, tak, że niewiadomo było, w której stronie przebywa.

Na wszystkie strony rozsyłano rekonesanse, lecz powracały one zawsze do obozu z wieścią, że wojsk rosyjskich nigdzie nie widać...

Dnia 20 września powrócił cesarz do Krem-

linu i zamieszkał w skrzydle, które ocalało od pożaru.

Ugaszono go wreszcie, lecz zaledwie cerkwie i piątą część domów w Moskwie zdołano ocalić. Dym snuł się jeszcze po ulicach miasta, walały się na nich jeszcze opalone belki, gdy orszak cesarski podążył w stronę Krem-linu.

Zajawszy w nim kwaterę, Napoleon wrócił do dawnego czynnego życia.

W głowie jego wirowały przeróżne plany, jeden dziwniejszy od drugiego.

Zrazu myślał o tem, ażeby cofnąć się na Litwę przez Kaługę i Tułę, zabierając tam spichlerz i arsenał rosyjski. To znów decydował się pozostać przez zimę w Moskwie i na wiosnę rozpocząć dalszą kampanję. W tym celu posyłał rozkazy do Paryża, ażeby przysłano mu artystów opery i komedji francuskiej...

Roił również o tem, że ogłosi się królem polskim, odbuduje księstwo Smoleńskie, rozczłonkuje całą Rosję zachodnią; na tronie księstwa moskiewskiego chciał osadzić jednego z Dołgorukowych; zamyślał o wzniesieniu buntu wśród poddanych chłopów, o poruszeniu Tatarów nad Wołgą i t. d., i t. d.

Te wszystkie fantastyczne i po większej części niewykonalne projekty tworzył dlatego,

ażebym zagłuszyć dręczący go niepokój z powodu braku odpowiedzi od cesarza Aleksandra...

Wśród generałów zaś i marszałków coraz częściej odzywać się zaczęły głosy, doradzające odwrót. Lecz Napoleon z dumą odrzucił nawet myśl o tem.

XIII.

Początek końca.

— No, nareszcie skończy się może ta swawola żołnierska! — zawołał kapitan Garliński, wpadając do kwatery, w której obydwaj porucznicy wypoczywali po powrocie z rekonesansu.

— Jakto? jakim sposobem? — zapytał porucznik Habdank, zrywając się na równe nogi.

— Wyruszamy w pochód! Odkryto wreszcie, gdzie kryje się nieprzyjaciel. Król Neapolu — Murat i nasz korpus otrzymały rozkaz wyruszenia przeciwko niemu...

— Więc?

— Dziś jeszcze wyruszamy w drogę. Rozkazy już rozpisane. Żołnierze w koszarach

szukają się do drogi, a za dwie godziny wszyscy już mamy być gotowi!

— Nareszcie! nareszcie! — z ulgą zawołał porucznik Wicherski i począł się śpiesznie ubierać.

W godzinę potem stały już szeregi polskie gotowe do drogi.

Na twarzach wiarusów widać było radość i zadowolenie, że nareszcie skończy się to próżniacze życie, że znów ciągną w pole, na walki i śmiertelne zapasy z nieprzyjacielem.

Jednocześnie prawie szedł do pochodu i korpus Murata, do którego przyłączono parę oddziałów strzelców konnych polskich.

Obydwa oddziały wyszły prawie że jednocześnie, przyczem skierowały się dwoma różnymi drogami ku Kołomnie, gdzie miał się znajdować nieprzyjaciel.

Wojacy polscy, z wesołym pogwarem posuwali się naprzód; szli, nie śpiesząc się, wypatrując tylko nieprzyjaciela.

Lecz na widnokręgu, oprócz niknących zazwyczaj w oddali drobnych oddziałów kozaków, nikogo nie było widać.

— Zmykają wciąż przed nami — mówili żołnierze ze śmiechem — zmykają, jakby bojąc się zmierzyć. W ten sposób idąc, łatwo mogliśmy zapędzić ich aż na Sybir...

Żarciki te biegły od szeregu do szeregu,

aż do samego przodu, gdzie na czele wojsk dążył ze sztabem swoim książę Józef Poniatowski.

Lecz zazwyczaj jasna, pogodna twarz woźdza tego smutna była i zachmurzona. Z bólem serca patrzył na to wszystko, co się działo i przewidywał smutny koniec całej tej wyprawy.

Korpus jego topniał w zastraszający sposób i nawet połowy nie ma już przy jego boku tych dziarskich, dzielnych wiarusów. Resztę zżarły trudy pochodów, złe pożywienie, niewygody i krwawe boje.

— A co będzie dalej? — pytał się w głębi duszy wódz polski. — Zima się zbliża, a tu jest ona sroga bardzo... Co tam! Korpus jego zwyczajny tego, przetrzyma... Lecz Francuzi, Włosi, Niemcy... ci żołnierze, przyzwyczajeni do łagodnego klimatu Europy zachodniej. Te dzieci jasnego, słonecznego południa, którym nawet i śnieg jest obcy! Jak oni zniosą te trzaskające mrozy rosyjskie? jak wytrzymają walki z zahartowanym na wszystko żołnierzem rosyjskim?

Tak rozmyślał książę Józef, a wyobrażenia nasuwała mu coraz bardziej ponure, coraz straszniejsze obrazy tej przyszłości.

Korpus polski powoli posuwał się naprzód, aż wreszcie o świtanie dnia 29-go września

zatrzymał się nieopodal wsi Czarykowa, na drodze z Moskwy do Kalugi.

Książę Józef rozestał na wszystkie strony rekonesanse i oczekiwał od nich wiadomości. Chwila była pełna napięcia, gdyż z otrzymanych wiadomości można było wnioskować, że Rosjanie znajdują się w pobliżu.

Żołnierze też popasali w zupełnym pogotowiu bojowym, ażeby móżdż na pierwszy sygnał być gotowymi do uderzenia na nieprzyjaciela.

Wreszcie przed godziną jedenastą ukazał się na drodze pędzący galopem oddziałek ułanów, wracający z rekonesansu, a dowodzący nim porucznik Wicherski, stanąwszy przed księciem Józefem, raportował:

— Na równinie, pod lasem, tuż prawie pod wsią, widać wysuwające się siły rosyjskie!... Jest konnica, piechota i artylerja. Przed nimi harcuje drobne oddziały kozaków.

Zapłonęły oczy księcia Józefa. Przeobraził się zupełnie, smutne dumy wobec oczekującej bitwy uleciały gdzieś bez śladu. Porwał się z miejsca i zawołał:

— Szykować się do pochodu! wyruszamy zaraz!

Zawrzało wnet na biwaku i nie upłynął nawet kwadrans czasu, gdy szeregi polskie stały już pod bronią, gotowe do wymarszu.

Rozległy się sygnały trąbek i przednia straż z 6 działami ruszyła naprzód.

Szli powoli, przed siebie, posuwając się w kierunku, w którym spodziewali się natknąć na nieprzyjaciela.

Zagłębili się w las i z bronią gotową do odparcia nagłego ataku, dążyli naprzód, gdy naraz, tuż prawie u samego wyjścia, księżę Józef dostrzegł spory oddziałek kozaków, zastępujący im drogę.

Odwrócił się do dążącego tuż za nim z oddziałem swoim kapitana Garlińskiego i skomenderował:

— W nich! Rozproszyc ich!

Kapitan uniósł się w strzemionach, błysnął szablą w powietrzu, i zwracając się do swoich zuchów, huknął:

— Naprzód, wiara! W skok!

Zafurczały chorągiewki, zajęczała ziemia pod kopytami pędzących rumaków i jak burza runęli ułani na zastępujących im drogę kozaków.

Kozacy nie spodziewali się tak błyskawicznego ataku i nim nawet o ucieczce zdołali pomyśleć, ułani siedzieli im już na karkach, trąc, siekąc, klując lancami.

Kozacy próbowali stawić opór, lecz widząc, że usiłowania ich są bezskuteczne, że nie przemożą przeważającej siły, zawrócili i pozosta-

wiając rannych i zabitych na placu boju, zaczęli śpiesznie uchodzić ku głównym siłom.

Kapitan Garliński gonił ich czas jakiś, lecz zobaczywszy na równinie rozwinięte znaczne siły konnicy rosyjskiej, zawrócił i cofnąwszy się ku księciu Józefowi, oświadczył:

— Droga wolna, wasza księżęca mości!

Wojska polskie posunęły się naprzód i wyszedłszy z lasu na równinę, otoczoną ze wszystkich stron lasami, ujrzeni na przeciwległej stronie, pod samą wsią, uszykowaną w pogotowiu bojowym jazdę rosyjską, liczbą swą przewyższającą znacznie siły polskie.

Konnica polska rozwinęła wnet swój front, ustawiając się w dwa szeregi, a na przód jej wyjechała pędem artylerja konna, ustawiając działa do strzału.

Rosjanie nie czekali na rozpoczęcie działań ze strony Polaków. Uderzyli odrazu na konnicę, chcąc zgnieść ją masą swoją, rozproszyc i zmusić do poddania się.

Lecz zawiedli się w rachubach swoich.

Polacy zwarli się z nimi i jakby chcąc podtrzymać sławę ułanów, nietylko że nie dali się przelamać, ale sami siekąc i rąbiąc nacierających, zmusili do cofnięcia się.

Ponowiono atak. Napróżno! Jak mur stały zwarte szeregi konnicy polskiej, o którą rozbiły się wszelkie ich usiłowania.

Jednocześnie z lasu wysuwała się piechota

i ustawiwszy się pod nim w linię, rozpoczęła gęsty ogień karabinowy.

Zabrzmiały i działa.

Rosjanie odrazu rzucili w bój wszystkie siły swoje, chcąc przemagającą ich liczbą zgnieść słabe stosunkowo siły polskie.

Lecz próżne to były usiłowania!

Każdy atak, każdy napad, zarówno piechota, jak i konnica tak dzielnie odpierały, że nieprzyjaciel, rad nie rad, musiał się cofać w tył, opierając się o wieś Czarykowo.

A działa polskie grzmiały teraz bez przerwy, zasypując Rosjan gradem kul. Nie próżnowała również i artylerja rosyjska, a pociski jej ryły w szeregach polskich głębokie szczyrby.

Spostrzegł ksiązę Józef, że nieprzyjaciel największą podporę znajduje wśród chat wioski, przywołał więc do siebie kapitana Malińskiego i rzekł:

— Panie kapitanie, weź wążpan bataljon piechoty i wyprzjij no mi tam tych piechurów z wioski. A uwiń-no się, żeby im tam posiłki nie nadeszły.

Kapitan Maliński skłonił się tylko w milczeniu i podsunąwszy się do swoich wiarusów, skomenderował:

— Naprzód wiaral do ataku broń i za mną! Nie oglądać się—tylko bić! Musimy ich z tej tam wioski wykurzyć!

Bataljon puścił się biegiem popod lasem, trzymając karabiny wysunięte do ataku.

Nie spostrzegli się wcale siedzący w wiosce Rosjanie, gdy z okrzykiem:

— Niech żyje cesarz! — runęli na nich.

Powstał wśród nich wielki popłoch i zanim pomyśleli o obronie, znaczna ich ilość legła pod bagnietami.

Zawrzała zajadła walka w opłotkach wioski. Rzechotanie salw karabinowych mieszało się z ciężkim oddechem walczących, z krzykami ich i jękami bólu.

Piechota polska, z kapitanem Malińskim na czele, powoli ale wytrwale posuwała się naprzód. Okrzyk ich:

— Niech żyje cesarz! — coraz łączył się z okrzykiem: «Hural!» żołnierzy rosyjskich.

Lecz ci ostatni coraz bardziej wypierani z wioski, powoli wycofywali się, wychodząc na czyste pole.

Z jednej z chat poczęły się sypać iskry, i wreszcie ze słomianej jej strzechy buchnęły płomienie i kłęby czarnego dymu.

To Rosjanie, nie mogąc się utrzymać przy wiosce, podpalili ją, nie chcąc ażeby służyła za schronienie i oparcie oddziałowi polskiemu.

Nie było czasu na gaszenie pożaru, płomienie więc swobodnie przerzucaly się z chaty na chatę i w krótkim czasie cała wioska przedstawiała jedno wielkie pogorzeliisko.

Wreszcie ostatni okrzyk tryumfu i Rosjanie wyparci zostali z wioski.

Wśród dopalających się jej szczątków zatrzymał się kapitan Maliński, któremu książę Józef nie omieszkał podesać posiłków i silnym ogniem zaczął prażyć szeregi rosyjskie.

Napróżno generał Miłoradowicz, dowodzący Rosjanami, pchał w ogień najlepsze swe siły.

Napróżno sam na ich czele uderzał na stojące jak mur kolumny polskie.

Każdy atak, każde natarcie zostało odparte.

Trzy pułki wybornej jazdy rosyjskiej uderzyły na piechotę polską, lecz przyjęte potężną salwą karabinową, zmieszały się, skłębily i zanim zdołały przyjść do jakiegoś porządku, werznął się w nie z boku z 3-ma szwadronami ułanów ks. Sułkowski.

Rosjanie, zaatakowani z boku niespodziewanie, poczęli się cofać w nieładzie.

Wtedy ruszyły do boju zwarte kolumny piechoty rosyjskiej, gdy naraz przed szeregami piechoty polskiej pojawił się książę Józef i tak, jak pod Raszynem, porwawszy za karabin, zawołał swym dźwięcznym głosem:

— Naprzód, dzieci! na bagnety! Niech żyje cesarz!

A wiara, jak nie huknie:

— Niech żyje książę Józef! — rzuciła się

z bagnetami wysuniętymi naprzód; nie upłynęła nawet i godzina, gdy kolumny rosyjskie złamane, rozproszone, cofały się uchodząc.

Generał Miłoradowicz napróżno rzuca coraz nowe zastępy w bój, napróżno działa rosyjskie zieżą ogniem.

Odparty przez księcia Józefa nieprzyjaciel, cofa się; brygada jazdy Tyszkiewicza również mężnie wstrzymuje natarcia 3000-go zastępu nieprzyjaciół i ogień 10-u dział.

Straszna, zajadła walka trwa już dziesięć godzin i wreszcie zapada noc i deszcz lać poczyna.

Rosjanie cofają się w głąb lasu, korpus zaś księcia Józefa zajmuje pobojowisko.

I pomimo, że siły nieprzyjacielskie kilkakrotnie przewyższały siły polskie, Rosjan padło zabitych i rannych około 1000, do niewoli zaś dostało się pięciuset. Straty polskie były niemniej poważne i dochodziły do 500 zabitych i rannych.

Rozłożono się biwakiem na placu boju i zajęto opatrunkiem rannych. Książę Józef, spoczawszy przy ognisku, dyktował raport do cesarza o przebiegu bitwy.

Polecił następnie przywołać porucznika Habdanka i gdy ten stanął przed nim, rzekł:

— Poruczniku, weźmiesz z sobą pięciu ludzi dla eskorty i zasłony i podążysz z nimi do Moskwy do cesarza z tym raportem.

Porucznik skłonił się i wzięwszy raport, podążył do swojej kompanji.

Nie upłynęła nawet i godzina, gdy na czele pięciu ułanów mknął wyciągniętym galopem w stronę Moskwy.

Przybył tam bez żadnych przygód i wjechał w wązkiej uliczki miasta, zawałone opalonemi belkami i zgliszczami, z trudem przeciskał się w stronę Kremlu.

Na drodze napotkał znajomego kapitana szaserów, Michaux, mężnego Francuza, a zapytany przez niego, co słyhać, opowiedział cały przebieg bitwy pod Czarykowem.

— No i myśmy byli w niezorszym tańcu — odrzekł mu na to kapitan Michaux — żeby nie wasz kapitan Malczewski, toby nasz król Neapolu dawno leżał w ziemi...

— A to jakim sposobem? — zapytał zaciekawiony porucznik.

— Wyciągnęliśmy w pole razem z wami — zaczął kapitan swą opowieść — i udaliśmy się w ślad za cofającą się armją rosyjską.

Wyszliśmy na olbrzymią płaszczyznę, po której uwijały się tylko pojedyncze gromadki kozaków, wspierane przez jazdę regularną...

Król Neapolu postanowił na nich uderzyć i rozproszyć. W tym celu z częścią jazdy ruszył na nich.

Kozacy zrazu cofali się, cofali, aż wreszcie

wyciągnęli w wielkie półkole i gdy król Neapolu znalazł się w środku, uderzyli na niego.

Przedewszystkiem rzucili się na króla, wyróżniającego się od innych fantastycznym kostjumem.

— Ha, mamy cię, carze! — wołali — dziś się już nam nie wymkniesz!

I w jednej chwili rozproszywszy otaczającą króla eskortę, starali się ująć go żywcem.

Król Murat wy dobył szablę i ze zwykłą swą szaloną odwagą, zaczął z nimi walczyć.

Zarąbał też jednego z nich, kilku zranił i w ten sposób rozerwawszy otaczający go pierścień kozaków, rzucił się do ucieczki.

Lecz ci nie wyrzekli się tak łatwej i wspólniejszej zdobyczy i pogonili za nim. Nad głową króla wisiała już zguba, gdy jak piorun z nieba spadł kapitan Malczewski, dodany mu jako tłumacz i rzuciwszy się na ścigających kozaków, dwóch z nich zarąbał, a resztę zmusił do ucieczki.

W ten sposób król Neapolu uniknął niewoli, a może i śmierci. Zaraz też na placu bitwy uściskał gorąco swego zbawcę, mianował go baronem, obdarzył orderem i dotacją z kilkoma tysiącami lirów dochodu.

Kapitan Michaux skończył swą opowieść, a porucznik Habdank spytał go, gdzieby teraz mógł znaleźć cesarza.

— Cesarza? — rzekł kapitan i rozejrzawszy się po budynkach Kremlu, wskazał mu strzelającą wzwwyż ku niebu wyniosłą dzwonnice Iwana Wielkiego.

— Patrz! — zawołał, chwytając go za ramię — tam...

Spojrzał porucznik i na samym szczycie ujrzał stojącą między dwoma filarami postać człowieka, podobną do posągu wykutego z brązu, z rękami skrzyżowanymi na piersi, z głową opuszczoną i wzrokiem utkwionym w dal.

Stał on tam, a wzrok miał skierowany ku północy, ku Petersburgowi.

Naraz postać na wieży drgnęła, zmieniła pozycję i spojrzała w dół, ku miastu.

Habdank z cicha wykrzyknął:

— Cesarz!

I zdało mu się, że na twarzy Napoleona widzi wyryty smutek

— Tak, cesarz — przytwierdził kapitan Michaux — znów nie spał noc całą. Zły to znak. Jeżeli chcesz zobaczyć się teraz z cesarzem, poruczniku, to podąż na plac Czerwony. Wkrótce tam zjawi się, ażeby dokonać przeglądu. Ot, patrz, właśnie schodzi z wieży.

Rzeczywiście, Napoleon rzucił jeszcze jedno spojrzenie w stronę Petersburga i znikł we drzwiach.

— I tak codzień — ciągnął dalej kapitan — coraz też częściej słyhać o mającym nastąpić

odwrocie. Całe noce spędza na rozmowach i naradach z generałem Daru, o którym mówi, że «ma odwagę lwa, a pracowitość wołu»... Słyszałem też, że tenże generał radził zrobić z Moskwy oszańcowany obóz i przepędzić tam całą zimę, lecz cesarz nie chce usłuchać tej lwiej jego rady. Czemu się to skończy i jak się skończy, nikt napewno wiedzieć nie może. Ale pośpiesz się, poruczniku, gdyż cesarz zaraz po przejrzeniu poczty porannej, dokonywać będzie przeglądu gwardji.

Porucznik Habdank pożegnał się i czemprędzej pomknął ku Czerwonemu Placowi, dokąd ze wszystkich stron Moskwy ścigały tłumy wojskowych wszelkich stopni, oraz przedstawiciele prawie wszystkich ludów Wschodu, przybyłych dla handlu i dla robienia dobrych interesów.

Plac Czerwony, otoczony ze wszystkich stron zgłiszczami, przedstawiał nader barwny i ożywiony obraz.

W samym środku pozostawiona była tylko znaczna pusta przestrzeń, na której stała uszykowana w szeregi, stara gwardja napoleońska w paradnych mundurach, a tuż przy niej w świetnych, złotem zahaftowanych mundurach stali marszałkowie, generałowie wielkiej armji, oraz cały sztab cesarza.

Wszyscy z naprężeniem oczekiwali przybycia monarchy i rozpoczęcia parady.

Naraz rozległo się warczenie bębnow, tłum zacichł, zamarł i wreszcie na placu ukazał się otoczony przez gwardję w wysokich niedźwiedzich czapach, oraz przez szwoleżerów polskich, cesarz Napoleon Wielki.

Orkiestry rozbrzmiały potężnym marszem i naraz, ze wszystkich piersi żołnierskich wyrwał się potężny okrzyk:

— Vive l'Empereur!

A on jechał na siwym swoim arabie, z twarzą obojętną, spokojną, gładząc go ręką po wygiętej szyi.

Okrzyki rozlegały się coraz donośniej, a podziurawione od kul sztandary, zdobne w orły napaleońskie, chyliły się przed nim.

Niktby na tej spokojnej, jakby z marmuru wykutej twarzy, nie poznał tych strasznych trosk i zwątpień, nurtujących w głębi duszy.

Przejechał przed szeregami ustawionych wojsk i z ust jego padła komenda. Szeregi sprawnie dokonały zwrotu.

Jeszcze parę zwrotów, parę ewolucji i wreszcie przegląd skończony.

Porucznik Habdank przedarł się wtedy przez tłum oficerów i żołnierzy i zbliżywszy się do pierwszego z napotkanych adjutantów służbowych cesarza, oznajmił:

— Z raportem do jego cesarskiej mości!

Adjutant przeprowadził go prosto przed ce-

sarza i tenże, z ukłonem, doręczył raport Napoleonowi.

— Od kogo?—spytał cesarz, topiąc w twarzy porucznika spojrzenie swych żrenic stalowych.

— Od księcia Józefa Poniatowskiego! — brzmiała odpowiedź.

Cesarz rozerwał pieczęć raportu i szybko przebiegł go oczami.

Uśmiech ukazał się na jego ustach i wybiegło z nich cichym szeptem:

— Dzielni Polacy!

A więc odnosi zwycięstwa! Nieprzyjaciel pierzcha pokonany, a ktożto ośmiela się twierdzić, że jest on zwyciężony, że musi się cofać?...

I dumnie wznosi głowę do góry i toczy wokoło wzrokiem.

Patrzy na porucznika i pyta:

— W których bitwach uczestniczyłeś, poruczniku?

— Pod Smoleńskiem, pod Borodino i teraz pod Czarykowem, Najjaśniejszy panie!

— Dzielnie, kapitanie! Możesz dziś wracać do obozu?

— Choćby w tej chwili, wasza cesarska mości! — odpowiada porucznik Habdank, zdumiony tym tytułem.

— Dobrze, przyjdź, kapitanie, do mojej kancelarii, a dostaniesz rozkazy.

I zawrócił cesarz, kierując się w przeciwną stronę, a do oszołomionego Habdanka podbiegł wnet tłum oficerów i adjutantów, wieszając mu łaski cesarskiej, wieszając awansu.

A więc cesarz nazywał go kapitanem nie przez kpiny, samo tylko wymienienie tej rangi wystarczyło do nominacji!

A więc jest teraz kapitanem równym rangą Jankowi.

Rosnąc prawie z radości pomknął czempredziej do kancelarii cesarskiej, gdzie wkrótce doręczono mu rozkazy do księcia Józefa, oraz tymczasową nominację na kapitana.

Nie zostając też dłużej w Moskwie, pomknął z powrotem do obozu.

Nie zastał go już na tem miejscu, gdzie pozostawił. Posunął się on bliżej ku Moskwie, ku pozycjom króla Murata.

Księżę Józef przeczytał doręczone mu rozkazy, poczem spojrzawszy na Habdanka rzekł:

— Wieszuję, kapitanie — i uściskawszy go dodał: — Szczerze rad i zadowolony jestem, że cię ta odznaka od cesarza spotkała.

Wyszedłszy z namiotu księcia Józefa wpadł Habdank w objęcia Janka, Stacha i kolegów pułkowych, którzy mu niemniej gorąco i serdecznie wieszowali tej zaszczytnej nominacji.

XIV.

O d w r ó t.

Armja rosyjska, odnalazłszy się, nie pozostawiła armji francuskiej w spokoju ani jednego dnia.

Przednie straże tejsze codzien nieomal staczały zacięte utarczki z atakującymi ich oddziałami kozaków, konnicy i piechoty rosyjskiej.

Prawda, że we wszystkich tych utarczkach wojska korpusu księcia Józefa Poniatowskiego i króla Murata odnosiły zawsze zwycięstwa, lecz czy długo to trwać będzie?

Po każdej z takich walk siły ich topniały w sposób przerażający, podczas gdy szeregi Rosjan codzien nieomal rosły świezo przybijającymi zaciągami.

A przytem tworzyły się dość liczne oddziały partyzanckie, z ludu, uzbrojonego w sposób dość pierwotny, atakujące drobniejsze oddziały i załogi. Napaściom zwłaszcza ulegały oddziały, wysłane po furaz i żywność.

W ten sposób w d. 10 października partyzanci napadli na miasteczko Wereję i podpaliwszy je, w pień wycięli załogę.

Nieprzyjaciel stawał się coraz groźniejszym

i ataki jego coraz śmielszymi, choć główne siły, z powodu niby zawieszenia broni, były nieczynne.

Wreszcie gdy awangarda pod wodzą Murata i księcia Józefa Poniatowskiego zbliżyła się do wsi Winkowa, generał Kutuzow zerwał nagle zawieszenie broni i wszystkimi siłami swemi uderzył na króla Murata.

Zawrzała bitwa... Kolumna Murata zaskoczona znienacka broniła się rozpaczliwie.

Atak za atakiem, natarcie za natarciem odierały jego szeregi.

Szczególnie zaś odważnie broniły się pułki legji nadwiślańskiej.

Murem stały naprzeciw nieprzyjaciela zwarte kolumny piechoty polskiej i jak o mur odbijały się od nich wszelkie natarcia przeciwników.

Napróżno konnica próbowała zmieszać ich, wprowadzić nieład i przez to zmusić do cofnięcia się.

Dopiero po kilkakrotnem natarciu udało się im to i pułki polskie cofnęły się w tył, oddając Rosjanom zarośla...

Lecz niedługo cieszyli się oni swoim zwycięstwem.

Dowódzca legji nadwiślańskiej, zwróciwszy się do drużyny swojej, zawołał:

— Naprzód, dzieci! odbierzmy im te zarośla!

I rozległy się dźwięki trąbek, rozbrzmiały bębny i kolumna polska, z bagnietami wysuniętymi naprzód, jak szalona rzuciła się na nieprzyjaciela.

Nie mógł się oprzeć tak dzielnemu natarciu: napróżno stawiał opór; po zaciętej walce skłębiona kolumna rosyjska ustąpić musiała i wiarusi polscy zajęli dawne swe stanowisko.

Król Murat nie ustawał ani na chwilę. Coraz w innym miejscu walki widoczną była jego postać, ubrana w fantastyczny mundur, wyróżniająca się od innych.

Z jednej pozycji przebiegał na drugą, wydając rozkazy, pchając do boju coraz nowe kolumny.

Coraz w innym miejscu walki słyhać było dźwięczny głos jego, komenderujący:

— En avant! En avant!

Rosjanie dojrżeli jego postać i za wszelką cenę postanowili wziąć go do niewoli.

To też gdy wysunął się trochę naprzód, prowadząc pułk drugi legji nadwiślańskiej, pułk jazdy rosyjskiej galopem rzucił się do szarży.

Strzelcy polscy ustawili się w czworobok i mając króla ze sztabem jego w środku, groźni, nieruchomi, z bronią wysuniętą naprzód, oczekiwali natarcia.

Rosjanie pędzili przed siebie jak szaleni, zda się, że pułk cały rozniosą na kopytach

końskich, lecz widząc, że wojacy polscy nie strzelają, o pięćdziesiąt kroków od czworoboku, zwolnili biegu i zatrzymali konie.

Zapanowała chwila ciszy, uroczystej, grobowej ciszy, przerywanej tylko parsaniem koni...

Naprężenie było wielkie. Zda się, że można było wyczuć bicie serc wszystkich...

I naraz z ust wodza jeźdźców rosyjskich padła komenda. Pułk cały zawrócił na prawo w tył, jak na paradzie, i stępa odjechał.

Westchnienie ulgi wyrwało się z piersi polskich.

— Brawo, dzielni Polacy, brawo!... męstwo wasze pochwałę przed cesarzem — zawołał król Murat i pomknął z kopyta dalej, by w innej części pola pchnąć nowe kolumny do walki.

Lecz próżne wysiłki, przemagające siły nieprzyjaciela biorą nad nim górę, zmuszają do cofnięcia się z zajmowanych pozycji.

Napróżno jednego adjutanta za drugim posyła do cesarza, do Napoleona, by przysłał mu posiłki, by dopomógł do odniesienia zwycięstwa.

W oczach jego giną oni...

Trzech już zginęło, gdy naraz ujrzał pędzący ku sobie oddziałek ułanów księcia Poniatowskiego.

Dowodzący nimi kapitan dopadł do niego i z ukłonem czekał na rozkazy.

— Kapitanie — pyta Murat — jak prędko książę Józef mógłby nadażyć tu z siłami swemi?

— Za trzy godziny, wasza królewska mości... nie prędeż.

Murat spojrział na zegarek, spojrział na pole bitwy, na którym toczono pojedyncze utarczki i szepnął:

— To zapóźno!...

A po chwili namysłu znów spytał:

— Kapitanie, czy mógłbyś się przedrzeć do Moskwy?

— Sprobuję, wasza królewska mości! — odrzekł kapitan.

Murat wyrwał z notesu kartkę, nakreślił na niej słów parę i doręczając mu ją, rzecze:

— Kapitanie, może ty będziesz szczęśliwszy... Próbowało tego przed tobą trzech adjutantów i padli... Jedź z Bogiem... kartkę tę oddaj cesarzowi.

Kapitan skłonił się, polecił wachmistrzowi odprowadzić podjazd do obozu, a sam, pochyliwszy się na szyi konia, pomknął z kopyta.

Zaświstały mu kule koło uszu, lecz nic... wtulił głowę w grzywę końską, ukrył za nią i minęły go.

Król Murat wyteżonym wzrokiem patrzył w ślad za nim i wreszcie westchnienie ulgi wyrwało się z jego piersi:

— Przejechał! — szepnął.

A więc cesarz będzie teraz zawiadomiony, otrzyma zawczasu wieść o przegranej bitwie i poczyni odpowiednie kroki.

I znów się rzucił w wir walki, byle przegrać z honorem.

* * *

Kremlin śpi... Wszystko w nim spowite w mroki, zda się, że niema żywej duszy... W jednej tylko sypialnej komnacie cesarza świeci się w oknie.

Przy okrągłym stole, zasłanym papierami i mapami, siedzą poważni, skupieni, z namarszczonymi czołami pierwsi wodzowie armji francuskiej.

Siedzą tam mężowie, których nazwiska, jak gwiazdy pierwszej wielkości, świecą w historii wojen Napoleona.

Wice-król Eugenjusz. . Marszałkowie: Ney, Mortier i Davoust, wielki marszałek Durot, generał Daru.

Toczą ważną naradę o tem co czynić dalej.

Pomimo dwukrotnego wysłania do cesarza Aleksandra propozycji zawarcia pokoju, nie otrzymano dotychczas żadnej odpowiedzi. A teraz generał Kutuzow nie chciał nawet przepuścić generała Lauriston z listem do cesarza Aleksandra.

Co czynić?...

I z ust zebranych wodzów pada ciężkie, bolesne słowo: odwrót!

Lecz Napoleon nie chce nawet i słyszeć o niem. I szuka innej drogi wyjścia... szuka innej rady...

Napróżno jednak!

Wtem na podwórzu słyhać tentent kopyt końskich, gwar zmieszanych głosów.

Wszyscy nasłuchują, a po chwili do komnaty wsuwa się kamerdyner cesarski, Constant i spokojnym głosem, zupełnie jakby w Tuillery, oświadcza:

— Goniec od jego królewskiej mości króla Neapolu prosi o przyjęcie.

Porwał się cesarz Napoleon, na twarzy jego odbił się niepokój.

Co nowego przynieść może ten goniec o tak późnej godzinie?... i z ust jego pada rozkaz:

— Niech wejdzie!

Drzwi się otwierają i staje w nich kapitan ułanów, zmęczony, zziębnięty, w mundurze okrytym pyłem i błotem.

Z ukłonem doręcza cesarzowi jakiś papier.

Napoleon szybko przebiega go wzrokiem, i na twarzy jego odbija się wyraz przerażenia...

W milczeniu kładzie kartkę ową na stole, przed innymi.

Idzie ona z rąk do rąk i wszyscy czytają jej treść fatalną:

«Jestem pobity przez przemagające siły!... Cofam się.

Murat».

Wstał cesarz z miejsca i zbliży się do okna. Gorejący wzrok topi w mrocznej dali, jakby w nocy szukając rady, pomocy. Głęboka zmarszczka przecina jego czoło. Myśli kłębią się i wirują pod czaszką...

W komnacie panuje głuche milczenie.

Wreszcie cesarz odwraca się, a na pobladołej, zda się z marmuru wykutej twarzy jego, nie znać miotających nim uczuć...

Wreszcie rozlega się rozkaz, wyrzeczony głosem donośnym, spokojnym:

— Wydać rozkazy do armji! Jutro wyruszamy w drogę, a pojutrze staniemy w Kaludze...

I chylą marszałkowie z uznaniem głowy, a cesarz dyktuje rozkazy, które Mortier i Davoust notują dokładnie, by je rozesać do pułków.

Brzmią one:

«Korpusy 3-ci i 4-ty opuszczą swoje kwatery pod Bogorodzkiem i wyruszą przed samą Kalugę. Dywizja Broussiera i brygada kawalerji Ornano obsadzą Fominskoje; Westfalczycy opuszczą Możajsk, zabiorą z sobą szpitale polowe i rannych i udadzą się do Borowska,

część gwardji pod dowództwem marszałka Mortiera pozostanie w Moskwie; dla chorych i rannych rozbić namioty po drodze do Smoleńska; pierwszy wyruszy korpus Ney, potem Włosi, Polacy, Bawarczycy i korpus Davousta. Wszystkie niespalone budynki publiczne w Moskwie, z wyjątkiem wielkiego domu podrzutków, mają być strawione przez ogień».

— A co będzie z Kremlem, najjaśniejszy panie?—pyta Davoust nieśmiało.

— Myny są podłożone, Mortier wie, co ma robić!—odpowiada Napoleon niecierpliwie.

Marszałkowie odeszli z ukłonem, by rozesać do pułków rozkazy cesarskie; w komnacie pozostał Napoleon i kapitan ułanów.

Chciał on już odejść z ukłonem, gdy cesarz stanął przed nim i spytał:

— Nazwisko twe, kapitanie?

— Habdank, najjaśniejszy panie!

-- Ach, to ty?... Znów jesteś na służbie... Skądeś się jednak wziął przy Muracie? czyż nie miał swoich adjutantów?

— Trzech ich wysłał, najjaśniejszy panie, padli wszyscy, byłem w tamtej stronie na rekonesansie, król spytał, czy podejmę się przewieźć list. Podjąłem się.

Kapitan umilkł, a cesarz, utkwivszy przenikliwie swe oczy w jego twarzy, spytał po chwili:

— Co chcesz za to, kapitanie?

— Ja, nic, najjaśniejszy paniel! — odrzekł zmieszany — ja to... dla Polski... żeby wskrzesła... żeby była odbudowana..

A wtedy Napoleon oparł rękę na jego ramieniu i rzekł spokojnym głosem:

— Idź i ufaj... Gdy więcej będzie tak mężnych jak ty i twoi towarzysze... odbudowaną zostanie!

A wtedy Habdank zachwiał się na nogach, i padłszy przed cesarzem na kolana, wyciągnął ręce ku niemu i pełnym wzruszenia głosem zawołał:

— Najjaśniejszy paniel! My wszyscy... życie, mienie, dusze oddamy, tylko wskrzesz ją... odbuduj!...

Napoleon nie odrzekł mu już nic, tylko ująwszy za głowę, złożył na jego czole pocałunek.

A Habdank, porwawszy rękę cesarza, ucałował ją gorąco; porwał się potem na nogi i zataczając, jak pijany, wyszedł z komnaty.

Napoleon długą chwilę stał nieruchomo, z rękami założonemi na piersi, wreszcie pokiwawszy głową, rzekł do siebie:

— Odwróć! Jestem pobity... Szaleńcy! Marzą o odbudowaniu ojczyzny, podczas gdy ja i wielka armja stoimy na skraju przepaści!... Gdy wielka armja... pobita... cofa się!

I podszedłszy do okna, utkwiał wzrok w przestrzeni.

W mieście poczynił się gwar.

Zda się, że to hasło: «odwróć!» wszystkich obudziło do życia...

XV.

Krwawym szlakiem.

Zawrzało nowe życie w Moskwie, gdy rozkaz odwrotu dostał się do pułków wielkiej armji.

Po całym mieście słyhać tylko sygnały trąb, warczenie bębnow, turkot dział, toczących się po bruku ulic stolicy.

Była ona zatłoczona i zapchana cisnącem się ze wszystkich stron żołnierstwem. Wszystko tam było zmieszane razem: żołnierze wszelkich pułków broni, działa, wozy, wyładowane zagrabioną zdobyczą, rannymi i żywnością.

Oprócz wojskowych tłoczyli się tam i cywilni cudzoziemcy, przybyli za wielką armją. Każdy niosąc lub wioząc swój dobytek, starał się ująć z życiem ze stolicy, jakby obawiając się zemsty właściwych jej panów.

I szli oni, niosąc nieraz, jako największy skarb swój: klatki z kanarkami i papugami, ko-ty, psy i t. p.

A rdzenni mieszkańcy Moskwy z litością patrzeli na ten bezładny, przeważnie lekko ubrany tłum żołnierzy i cywilnych cudzoziemców i mówili im:

— Uchodźcie czempredzej! Wy nie znacie zimy rosyjskiej. Za dwa tygodnie ciało wam popęka, paznogie odpadną, broń wypadnie z waszych rąk zdrętwiałych i napół martwych. Nogi nie będą chciały was nieść i popadacie na drodze, na pastwę krukowi i wilkom.

Francuzi z uśmiechem niedowierzania słuchali tych rad i uwag Rosjan, jak również i tej, ażeby kazali konie kuć na ostro. Wydały się im one bajką jakąś lub też strachami dla dzieci.

Wspomnieli je sobie jednak, gdy po wyjściu z Moskwy dnia 19 października, zaczęły ich trapić pierwsze chłody jesienne.

Otulali się w co mogli, okręcali w przenajróżnorodniejsze łachmany, kosztowne futra, które zrabowali, a nierzadko i w szaty cerkiewne.

I szła ta bezładna gromada ludzi, obdarta, obszarpana, bez najmniejszego śladu porządku i karności.

Szła rozsypana po całej drodze, a na twarzy każdego z tych żołnierzy śmierć, zda się, wryła swe piętno.

I na ustach ich jeden tylko był wyraz:

«Francja», lub też miejscowość ojczysta każdego z tych walecznych.

O ojczyźnie marzyli, o niej śnili, do niej się rwali w tym strasznym, jakby nie mającym kresu, pochodzie.

Z imieniem też jej na ustach umierali, konając z głodu i zimna...

I łupy wspaniałe pozostawały na drodze, porzucone, opuszczone, gdyż nie miał kto ich wieźć, nie miał kto niemi się opiekować.

Do hordy dzikich łupieżców raczej podobna, szła ta resztką «wielkiej armji»; wracała do kraju, poraz pierwszy pobita, zwyciężona!

Cały ten pochód posuwał się powoli zrazu naprzód, a to dla wielkiej ilości wozów z zagrabionymi łupami i rannymi...

Dążono nową drogą, na której spodziewano się znaleźć obficie żywność, ciepłe kwatery i dostatek, podczas gdy dawna droga do Smoleńska była wyniszczona, spustoszona.

Lecz niedługo mogli postępować naprzód tą drogą.

Tuż pod Mało-Jarostawcem zastąpił im drogę Kutuzow z przeważającymi siłami i radzi nie radzi musieli stoczyć bitwę.

Do boju wystąpił z korpusem swoim wicekról włoski Eugenjusz.

Straszną i zażartą była ta walka!

Pierś o pierś walczyli żołnierze francuscy z Rosjanami, bagnetem i szablami torując sobie

drogę do zwycięstwa, do dalszego posuwania się na południe ku ojczyźnie.

Wojska francuskie jeszcze raz dowiodły swego bohaterstwa. Szczupła ich garść, bo zaledwie 18000 ludzi, walczyła z 51000 Rosjan. Walczyła zwycięsko, gdyż nieprzyjaciel zmuszony został do cofnięcia się; przed wielką armją zaś droga stała otworem.

Wice-król włoski zajął miasto, choć straty jego przeniosły 4000 w poległych i rannych, w czem było aż 7 generałów.

Po skończeniu bitwy przybył do miasta, otoczony sztabem, Napoleon, który w drodze o mało co nie stał się jeńcem uwijających się gęsto w okolicy kozaków Płatonowa.

Wymknął się im jednak i dopadłszy do stanowisk ks. Eugenjusza, zwołał natychmiast naradę wojenną.

— Uderzyć na nich! — wołał zapalczywy Murat — przełamać ich opór, rozbić i siłą oręża utorować sobie drogę!

Napoleon spojrział na zebranych wokół marszałków. Leczą marmurowe, spokojne twarze ich, nic nie wyrażały.

Wreszcie odezwał się marszałek Bessières:

— Najjaśniejszy panie! Projekt ten jest śmiały, odważny, godzien tak znakomitego wojownika, jakim jest król Neapolu. Lecz, niestety, w naszych warunkach jest on niewykonalny... W tej jednej krwawej bitwie stracił

ks. Eugenjusz prawie że czwartą część swych żołnierzy... Przy takim torowaniu sobie drogi, stracilibyśmy ich połowę, a wtedy nieprzyjaciel, którego siły rosną z dniem każdym niemal, łatwo bardzo pozostałą resztę mógłby zabrać do niewoli lub też wybić co do nogi... Na to — nie wolno nam się narażać!... Mojem zdaniem winniśmy cofać się, cofać aż do miejsc, gdziebyśmy mogli wygodnie z wojskiem przezimować. Nie traćmy lekkomyślnie armji, gdyż ona to stanowi całą siłę naszą.

— Marszałek Bessières ma rację — odezwał się marszałek Davoust — nie w szalonych, acz bohaterskich wysiłkach szukać nam ratunku... Cofać się i to cofać, narażając się na najmniejsze straty — oto co nam tylko pozostaje. Cofajmy się drogą na Medyń i Smoleńsk, dostańmy się na grunt urodzajny, na drogę nową, bogatą, gdzie znajdują się jeszcze całe wsie... Tam właśnie podążajmy drogą najprostszą!

I znów Napoleon spojrział po twarzach marszałków i generałów swoich i wyczytał na nich wszystkich, że zgadzają się na projekt Davoust'a.

I już miał wydać rozkazy, gdy naraz drzwi rozwarły się z trzaskiem i, zapominając o wszelkich przepisach etykiety, wpadł przez nie adjuutant gwardji włoskiej ks. Eugenjusza, zakrwawiony, zmęczony.

— Wasza cesarska mości! — zawołał od proga — kozacy całą ławą atakują nas od strony Kaługi... Z trudnością nasze pułki bronią się ich natarciu!

Cesarz porwał się z miejsca i zbliżywszy się do niego, spytał szybko:

— A droga do Kaługi?

— Zajęta przez nich, a w tyle, po za nimi, widać główne siły Kutuzowa! — brzmiała odpowiedź.

Cesarz opuścił głowę na piersi i zatonął w zadumie.

— Co robić?

Powiódł wreszcie wzrokiem po zebranych.

Na twarzach wszystkich wyczytał tylko jedno:

— Uciekać! uciekać jaknajprędzej od grożącego niebezpieczeństwa!

Jeszcze chwila zadumy i z ust Napoleona padają słowa:

— Cofamy się dawną drogą, na Możajsk, ku Smoleńskowi... Wydajcie panowie rozkazy.

Marszałkowie porwali się z miejsc swoich, by biedz wydać odpowiednie rozkazy, gdy naraż Napoleon pobladł, zachwiał się i runął na ziemię.

Rzucili się ku niemu marszałkowie, poczęli trzeźwić, lecz szło to z trudem. Przywołano wreszcie przybocznego lekarza jego, d-ra Yvana i dopiero po dłuższych usiłowaniach tegoż,

udało się przywrócić cesarza do przytomności.

Otworzył oczy, błędnie rozejrzał się wokoło, wreszcie spytał:

— Co to? Co to się stało?

— Wasza cesarska mość zemdłał! — odrzekł marszałek Davoust.

— Ja, ja zemdlałem? — rzekł Napoleon ze zdziwieniem i cień zdumienia odbił się na jego twarzy.

Po chwili jednak przypomniał sobie wszystko i ból na jedno mgnienie oka wykrzywił jego usta.

— Idźcie! idźcie! — zawołał — wydawajcie rozkazy... jaknajprędzej... szkoda każdej chwili, idźcie!

Marszałkowie skłonili się z czcią przed bólem jego i wyszli.

A Napoleon, wsparłszy głowę na dłoniach, dał folgę cierpieniu. Teraz nie potrzebował się maskować.

Tak, wiedział dobrze, że droga, którą wojsko jego miało wracać, wyniszczoną była podczas pierwszego przejścia wojsk.

Że czekała je tam nędza, głód, śmierć!

Lecz nie myślał nawet o sposobie wydobycia się z tej opresji.

Stracił już wiarę w siebie, w swoją gwiazdę przewodnią.

* * *

Korpus polski w ogniu bitew i ciągłych utarczek topniał w sposób zastraszający.

Z 23000 żołnierzy pięknych, dorodnych, uzbrojonych należycie, śmiejących się do tych walk bohaterskich, pozostało tylko cztery i pół tysiąca piechoty, 1000 ułanów, cała artylerja i wszystkie sztandary.

Reszta padła na polu walki, na ciężkiej, pełnej trudów i niewygód drodze. Padł i serdeczny druż księcia Józefa, człowiek o kryształowej duszy, o gołębiem sercu, przepelnionem wielkiem umiłowaniem ojczyzny, szef sztabu głównego, generał Fiszer.

Padło ich tylu... tylu jeszcze!

Lecz pozostałe resztki trzymały się najdzielniej, daleko lepiej od całej armji francuskiej. Szły też w tylnej straży, staczając utarczkę za utarczką z nieprzyjaciółmi, atakującymi ich bez przerwy.

I mimo niespanych nocy, mimo głodu, szarpiącego trzewia, szli zwartemi szeregami, wspomagając się wzajemnie, ratując w biedzie i nieszczęściu.

A mróz coraz bardziej zaczął się dawać we znaki, a i śnieg poczynał prosić od czasu do czasu.

Szli jednak wytrwale naprzód, gdyż widzieli na krańcu tej drogi cierniowej — Polskę. Polskę odrodzoną i odbudowaną dzięki temu, którego woli byli posłuszni.

I choć twarz księcia Józefa okryta była smutkiem i zadumą, serce mu się rwało na strzępy, gdy widział idące na marne tyle wysiłków, tyle ofiar, tyle poświęcenia bez granic, gdy topniały jego szeregi, zmniejszając się bez miary, bez widoku nawet, ażeby kres temu nastąpił.

Zaciskał jednak zęby i jak prawdziwy rycerz bez trwogi i skazy szedł zawsze pierwszy, zarówno w pochód, jak i w krwawy taniec.

Podwładni oficerowie widzieli to jego poświęcenie bez miary i miłość ich ku niemu rosła, potężniała.

A droga z dniem każdym stawała się cięższą, stawała trudniejszą.

Nieszczęśliwi szeregowcy wielkiej armji padali na drodze setkami, marznąc lub też ginąc z głodu i nędzy.

Biada też tym, co bezsilni, osłabli, pozostali w tyle. Napadali wnet na nich chłopcy rosyjscy, ciągnący za wielką armją, jak wilki za żerem, chwyтали ich i w srogich mękach tręcili...

Zda się, chcieli na nich pomścić pohaniebie swej świętej stolicy.

Z Małego Jarosławca szczątki wielkiej armji skierowały się na drogę, wiodącą do Możajska.

Pusta ona była, bezludna, ogołocona ze wszystkiego.

Tylko na wielkim placu boju pod Borodinem w mroźnym powietrzu białaly trupy niepogrzebanych poległych, szczątki dział, wozów.

Koło tego wielkiego cmentarzyska przeszła wielka armja ze spuszczonei oczami, jakby obawiając się, że straszny ten widok przypomni im los, jaki ich oczekuje w tej strasznej wędrówce.

I cesarz przemknął koło niego, jaknajprędzej, nie oglądając się nawet po stronach.

I szli na śmierć, na zagładę!

XVI.

Na Golgotę.

Ostatnie strzały działowe ucichły pod Wiaźmą. Szeregi francuskie, rozbite, cofały się bezładnie w popłochu.

Kolumny rosyjskie przypuszczały atak za atakiem do tych obdartych, ledwie trzymających się na nogach żołnierzy wielkiej armji, z taką butą i pewnością siebie wkraczających do Rosji.

Ataki ich i natarcia powstrzymywała jeszcze

ostatkiem sił dzielna jazda polska, przed którą cofały się szeregi rosyjskie.

— Naprzód! naprzód! — rozlega się coraz komenda i choć siły słabną, choć szable wypadają z rąk, choć szeregi przerzedzone są znacznie, nic to, ułani polscy do ostatka spełnią swój obowiązek i choć wszyscy legną może na placu boju, lecz osłonią odwrót wielkiej armji.

Lecz oto działa rosyjskie zamilkły.

Raz jeszcze rozbrzmiał głucho ich huk, ostatni raz rzygnęły one na zmieszane szeregi cofającej się armji Napoleona i cisza, cisza grobu zapanowała wokoło.

Ułani polscy jeszcze raz odparli potężny atak kozaków i ci cofnęli się, zasypując męzne szeregi gradem kul z karabinków swoich.

— Jezus! Marja! — rozległo się parę okrzyków i kilku z męźnych obrońców, zachwiawszy się na siodle, runęło na ziemię.

— Jezus! Marja! — wyrwał się niemniej przeźrażliwy głos z piersi stojącego w przednim szeregu kapitana Garlińskiego i w jednej chwili zsunął się on z konia a podbiegłszy do leżącego na ziemi towarzysza, porwał go w ramiona, wołając nawpół z płaczem:

— Stachu! Stachu! co tobie? na rany Bo-skiej!

A leżący na ziemi porucznik Wicherski z trudem uniósł powieki i wyrzekł:

— To nic, Janku... to nic... to wyzwolenie... to koniec męki i cierpień...

— Lecz gdzie ranny jesteś? na Boga!

— Kula przeszła mi ramię—z trudem wyjąkał porucznik—zostaw mnie Janku, zostaw... staraj się sam ocalić, a gdy się znajdziesz tam, w kraju, powiedz moim, że ostatnia myśl moja była przy nich.

Lecz Garliński nawet nie słucha słów jego... Nawpół z płaczem woła:

— Nie, Stachu, nie... nie mów tak, musisz żyć! uratuję cię, żeby tam nie wiem co!

I zwracając się do stojących w pobliżu towarzyszy, zawołał błagalnie:

— Pomóżcie mi, uratujmy go, niech nie ginie marnie!

Na to jego wezwanie poskoczyli wnet towarzysze, których miłością i szacunkiem Stach się cieszył i poczęli pomagać Jankowi.

Podnieśli rannego, pomogli go usadzić na koniu i powoli, noga za nogą, kapitan Garliński z Habdankiem powiedli go do przednich kolumn, gdzie wnet chirurg zajął się rannym.

Obejrzał dokładnie ranę... zbadał ją i pokręcił głową.

— Macie szczęście, poruczniku — rzekł — gdyby kula poszła o dwa centymetry niżej, to byłoby już po was. A tak, tylko parę tygodni spokoju i wszystko będzie dobrze.

— Spokoju! — rzekł porucznik Wicherski z ironicznym uśmiechem, pomimo dręczącego bólu—zaznam go chyba po śmierci, bo tu w tem piekle, nawet i marzyć o nim nie można... A może zostać w jakiej chacie chłopskiej... Tam też mi dadzą spokój, ale wieczny...

— Stachu, nie mów tak! — zawołał kapitan Jan, chwytając go za rękę — nie mów, gdyż, żeby tam nie wiem co, ocalić cię muszę — i ocalę!

I pozostawiwszy przyjaciela na chwilę na posterunku lekarskim, sam pobiegł na koniec taboru, gdzie tłoczyły się wozy ładowne z mar-kietanami.

Tam porozmawiał przez chwilę z jednym i drugim z woźniców, obiecywał coś, prosił, aż wreszcie jeden z nich zgodził się za sowską zapłatę odstąpić mu swój wózek, zaprzężony w parę dobrych koników.

Kapitan kazał go wysłać futrami i słomą, i sam powożąc nim, zajechał przed czasową kwaterę lekarza.

— No, Stachu—zawołał, wpadając do wnętrza — jest wóz, wysłany wygodnie, będziesz mógł jechać nim, choćby do samego Krakowa.

Porucznik Stach uśmiechnął się z wdzięcznością i po chwili rzekł:

— Dobrze, dziękuję ci; lecz któż będzie powozić tym wehikułem?

— Ja!

— I ja!—dorzucił Habdank.

— Nie, druhy—rzekł porucznik poważnie—wam nie wolno tego zrobić! Chwila jest taka, że każda para dzielnych, silnych rąk wiele znaczy. Zdradą byłoby wyłamywać się od obowiązku!

Kapitan Jan zamyślił się nad jego słowami i po chwili, klasnąwszy w dłonie, zawołał:

— Masz słuszność, lecz i na to mam sposób! Pozostanę w szeregach, a ciebie wieść będzie w taborze Cienciara.

Porucznik Stach musiał przystać na ten projekt i wnet miejsce przyjaciół zajął przy nim poczciwy Cienciara i umieściwszy się na samym przodzie taboru, pociągnęli naprzód za całą uchodzącą armją.

Kapitan Jan z kompanją swą podążał w pobliżu, ochraniając druha od drapieżnych maruderów, krążących wokół jak wilki i zwracających błyszczące pożądaniami oczy na chude, zbiedzone szkapiny, zaprzężone do wózka.

Lecz i Cienciara pilnował baczenie dobra swych panów.

Biada temu z maruderów, który ośmielił się zablizko podejść do wózka i zażądać oddania koni. Biada mu! Zrazu słyszał przyjacielskim tonem powiedziane:

— Idź dalej!

A gdy natarczywiej żądał, błyskało w powietrzu ostrze szabli, w razie zaś usiłowań

odebrania ich gwałtem, ostrze to zanurzało się w ciele i skrwawiony trup śmiałka padał na ziemię.

Ludzie zapomnieli o uczuciach ludzkich, każdy był dla innych wrogiem.

A droga z dniem każdym, z godziną każdą nieomal stawała się cięższą, przykrzejszą.

Mróz ścisnął siarczysty, tak, że nieszczęśni wojownicy wielkiej armji, nie zaopatrzeni w ciepłą odzież, szli, ledwie trzymając się na nogach, drżąc z zimna, nie mając nawet możności rozpalenia ognia i uwarzenia ciepłej strawy.

Wyczerpani z sił, osłabieni, padali na ziemię, a śnieg biały, puszysty śnieg, padał na nich, padał bez przerwy, otulając dobroczynnie białym całunem...

I tylko lekkie wyniosłości pod grubą warstwą śniegową wskazywały, że pod nimi leżał człowiek. Cała droga usiana była niemi, i towarzysze mijali je najobojętniej w świecie, bez uczucia litości, jakby w tem smutnem przeświadczeniu, że tenże sam los oczekuje ich jutro. Mróz dojmował coraz to większy. Broń wypadła z zamarzłych rąk, głód ścisnął, rozpacz ogarniała i szła. Każdy myślał tylko o sobie, zdawało się, że wygasły wszelkie uczucia.

I padali nieszczęśni, zgłodnieli, przemarznięci wojacy na drodze, przed leżącym na niej

trupem konia padłego i zębami rwali, szarpali padlinę, byle tylko nasycić głód, byle tylko choć na chwil parę odwlec tę straszną chwilę śmierci.

A za nieszczęsnymi sunęli kozacy. Resztki korpusu polskiego i korpus Ney'a wytrwale osłaniały przed nimi tę bezładną gromadę uciekających.

Obrazy, widziane po drodze były tak straszne, tak przejmujące, że wprost rozum ludzki mieszał się i wielu nieszczęsnych traciło go na zawsze.

Na białej, śnieżystej płaszczyźnie zapłonęło ognisko, otacza je tłum żołnierzy, radych z odrobiny ciepła, rozgrzewającego przemarzłe ciało.

Naraz rozlega się wybuch szalonego śmiechu, nieludzkiego prawie, i z grona otaczających wyrывa się młody żołnierz i w paroksyzmie szału, z tym strasznym śmiechem na ustach, rzuca się w owe płomienie stosu... Otulają go one, ogarniają miłosiernie i po chwili w nich ginie...

Towarzysze patrzą na to obojętnie i po chwili jeden z nich idzie w jego ślady, jakby obłąd ten był zaraźliwym, potem drugi, trzeci i t. d.

Kapitanowie Jan i Habdank odwracali głowę z przerażeniem od tych strasznych obrazów, lecz nasuwały się one mimowoli na oczy,

dreńczyły mózg, wybraźnię, doprowadzając do obłądu.

— Do Smoleńska, byle tylko do Smoleńska! — pocieszał Habdank i siebie i Stacha — tam magazyny zaopatrzone we wszystko, tam będzie obfitość żywności i ciepłe kwatery.

Lecz Smoleńska jakoś widać nie było.

Wreszcie ukazał się on.

Wszystkich jednak czekał zawód straszliwy. Składy były opróżnione, gdyż armja Victora, chorzy i maruderzy zdolali wszystko zabrać. W olbrzymich składach znaleziono tylko trochę mąki, ryżu i wódki.

A więc nie można było zatrzymywać się. Trzeba było iść dalej, w mróz i zawieję śnieżną. Naprzód, przed siebie, a może, może dojść się zdoła do zbawczej Francji.

Przez straszny ten pochód od Moskwy do Smoleńska wielka armja usłała drogę trupami 61.000 ludzi.

Legło tam niemało trupów polskich, gdyż sam korpus Poniatowskiego liczył 800 ludzi, a inne?..

A przytem nadchodziły wieści, że i z innymi korpusami działo się nie lepiej, że nędza i zimno szerzy wśród nich spustoszenie, że pozwoliły wymknąć się nieprzyjacielowi, który forsownym marszem dążył naprzód, byle tylko osaczyć wielką armję i wziąć do niewoli cesarza i armję jego.

Dnia 14 listopada wyruszył cesarz ze Smoleńska w dalszą drogę do Borysowa.

Marszałek Ney osłaniać miał odwrót.

I coraz na drodze rozlegał się pełen przerażenia okrzyk:

— Kozacy idą!.. kozacy idą!..

I nieszczęśliwi maruderzy rozbiegali się w przerażeniu, byle tylko ująć przed nimi. Lecz w Krasnem pojawili się oni tuż przed kolumną cesarską, powstało w niej łatwe do zrozumienia zamieszanie.

Generał Junot stracił głowę zupełnie i nie wiedział co czynić. A wtedy wyrwał się na czoło jego oddziału pułkownik Exelmans, i wzniosłszy szablę do góry, zawołał:

— Naprzód dzieci!.. naprzód, do boju... pokazmy im, jak stara gwardja umierać potrafi.

I runęła za nim wyniszczona, stara gwardja, i dawszy parę salw karabinowych, rozpędziła niemi atakujących kozaków.

Lecz nie odeszli oni daleko. Jak wilki krążyli wciąż w pobliżu, szarpiąc i urywając trochę nieszczęsne szczątki wielkiej armji.

Ułani ks. Józefa walczyli z nimi, odpierali ich ataki, do ostatniej chwili na stanowisku.

— Do ataku!.. szlusuj!.. Naprzód!.. zwykłem było tam hasłem, i posłuszni jemu szli naprzód polscy wiarusi, by umierać do ostatka, wierni przysiędze.

A tymczasem maruderzy wielkiej armji pędzili naprzód, bez opamiętania, bez ładu i karności, byle tylko ująć przed straszmem widmem śmierci, z tej mroźnej, złowrogiej krainy.

I w tej śpiesznej, szalonej ucieczce mijali, wyprzedzali cesarza swego, idącego pieszo, z trudnością, podpierającego się na lasce, otoczonego resztkami sztabu, zatrzymującego się co kwadrans.

Otoczały go znacznie przerzedzone szeregi starej gwardji. Lecz w niej żołnierze wszyscy szli we wzorowym porządku, z bronią na ramieniu.

— Gwardja oddaje broń i tornister tylko z życiem — mówili z dumą.

Tydzień cały trwała wędrówka do Orszy.

Tam Napoleon wydał rozkaz spalenia wszystkiego, co tylko balast w pochodzie stanowić mogło. I zapłonęły w różnych miejscach wielkie stosy, w które rzucano wszystkie łupy, zabrane nieprzyjacielowi, furgony, wozy... byle tylko ocalić konie dla artylerji, orły, sztandary. Rozkaz ten przyszedł i do korpusu polskiego.

Zdrętwieli wojacy polscy!..

Co?.. oni mają palić sztandary swojej!.. niszczyciel!..

W pułku ułanów zwartem kołem otoczyli żołnierze i oficerowie rozwinięty sztandar, który trzymał chorąży.

Powiał on nim po raz ostatni, orzeł biały błysnął w powietrzu, i zniżył się potem, a wszyscy zwartym otoczyli go kołem, całując skraj jego, tuląc do ust ten znak, pod którym walczili.

I już miał zgodnie z rozkazem cesarskim paść on w płomień stosu, gdy z grona otaczających go wyrwał się Habdank i głośno zawołał:

— Nie niszczone go... Dajcie mi go... ja go przeniosę...

Chwila wahania, i sztandar z rąk chorążego przechodzi w ręce Habdanka.

Silnem szarpnięciem odrywa on materję od drzewca, i rozerwawszy mundur na piersi, kryje go tam, obwija się nim.

Teraz odda go, ale z życiem...

Drzewce może spłonąć.

I za przykładem jego idą inni. I żaden sztandar nie spłonął w korpusie polskim. Wszystkie na piersi swej ukryła wiara i poniosła do ziemi ojczystej, jako największy skarb swój, jako największą świętość.

A na podwórku urzędu pocztowego w Orszy inna działa się scena.

Na samym środku jego płonął stos wielki, a służba cesarska znosiła do niego wszelkie papiery, korespondencję cesarską stanowiącą, wszystko, co tylko własnością jego było, byle nic, nic w ręce nieprzyjaciela się nie dostało.

Idą w ogień mundury złotem haftowane, płaszcze, bielizna, broń... wszystko, wszystko..

Z dziwną jakąś zaciętością patrzył na to Napoleon, jakby rozkoszując się tem spalaniem wszystkiego, co świadectwem jego wielkości było, jakby dziwną znajdując rozkosz w tem rozjątrzaniu krwawiącej się rany.

Skończone wreszcie palenie wszystkiego.

Teraz armja może iść naprzód, ku Borysowowi, gdzie przejdzie przez most na Berezynie i podaży do Wilna.

Naprzód... naprzód...

I porywa się Napoleon, i jakby chcąc uciec od dręczących go wspomnień, wydaje rozkaz śpiesznego wymarszu.

Lecz w połowie drogi otrzymuje nową wieść:

Borysów wzięty... Czyczagow uprzedził go...

Prawda, marszałek Oudinot stoczył z nim zwycięską potyczkę, lecz mimo to most na Berezynie spalony, przejście przez nią zamknięte.

Jak grom raziała ta wieść Napoleona. A więc teraz już koniec... już po wszystkim... Na nic wszelkie walki, wszelkie wysiłki... Zamknięty w tym kącie zdany jest na łaskę i niełaskę nieprzyjaciela...

Lecz nie... stara gwardja nie poddaje się... Walczy do ostatka... I albo zwycięża... albo ginie...

Umysł Napoleona, przytłoczony był klęskami i nieszczęściami, pod wrażeniem nowego ciosu, nie ugiął się...

Przeciwnie, zda się odrodził się, nabral nowego hartu i pewności siebie.

— Musi być tam przejście — oświadczył:— chodźmy go szukać...

I poszedł naprzód ku Berezynie, przez otaczające ją ciemne bory, a za nim w ślad szła cała armja jego, w tej ostatniej chwili życia, w tem oczekiwaniu skonu, nie przeklinająca swego cesarza, ufająca jego dobrej gwiazdzie.

I teraz jeszcze umieli oni umierać z okrzykiem:

— Vive l'Empereur!.. na ustach...

Szli za nim, wiedząc, że on znajdzie im wyjście, że męki ich skończą się...

Szli ślepo, bo On ich prowadził...

XVII.

Berezyna.

Szeroko rozlała swe fale spokojna zwykle rzeka Berezyna... Gęste płyną na nich kry, lecz ani one, ani mroźna woda nie przerażają tej gromadki odważnych aż do szaleństwa ludzi, co zanurzeni w niej prawie aż po szyję,

pracują nad czemś gorączkowo, zbijają, składają...

Praca wre w nurtach Berezyny, a wokoło niej rozlega się bez ustanku prawie huk dział i broni ręcznej.

Rozłożone na brzegu gromady ludzi, wyędniałych, obdartych, z niepokojem w oczach patrzą na tę pracę straceńców...

Tuż przy samym prawie brzegu stoi mąż niskiego wzrostu, w srebrzyste futro przyodzian, w kapeluszu bez ozdób, a otacza go grono wojskowych w mundurach złotem haftowanych, w bogatych szubach, w pióropuszcach...

Spokojnie, zimno patrzy mąż ten na wrzącą w lodowatych nurtach Berezyny pracę...

To Napoleon...

Po wyjściu z Orszy otrzymał nagle posiłki w postaci korpusu marszałka Victora i Oudinot'a, oraz dywizji generała Dąbrowskiego...

Ten ostatni cudem prawie połączyć się zdołał z głównymi siłami.

Przeznaczony do obrony mostu, stanowiącego jedyne przejście przez Berezynę, zajął Borysów ze szczupłemi bardzo siłami, gdyż zaledwie z 2000 piechoty, 500 jazdy i 12 działami.

Piechotę swą umieścił Dąbrowski w przyczółku mostowym, powierzając jej straż nad mostem...

Lecz znużenie wzięło górę... wyczerpani męczącym pochodem wiarusi, rozpalili ogniska, warzyć poczęli na nich strawę, by pokrzepić się cokolwiek i rozgrzać...

A ogień grzał tak, ciepło przyjemne rozlewało się po wszystkich członkach znużonego ciała... Sen, pokrzepiający sen, ogarnął wszystkich... Trzymając broń w ręku, pochylili głowy i ogrzewani miłosiernem ciepłem ogniska zażywali oddawna niezaznawanej rozkoszy—spoczynku...

Nad garścią uśpionych wojaków czuwał mąż jeden... Stary legionista, pułkownik Małachowski, zahartowany w bojach, zwycięsko oparł się wszechmocnemu snowi i mając przy sobie tylko szczupłą garść żołnierzy—czuwał nad bezpieczeństwem towarzyszy broni.

Dobrze już było po północy, gdy na zmarniętej drodze dał się słyszeć tętent kopyt końskich.

Pułkownik Małachowski bacznie słuchał począł... odgłos szedł od stanowisk pozostałego wojska polskiego.

— Bacność!.. cicho rzucił rozkaz zbranym przy boku jego towarzyszom.

A gdy z mroku nocy wyłoniły się postacie dwóch jeźdźców na koniach, spytał ostrym głosem, nierad, że wiarusom jego, być może, przerwany zostanie spoczynek.

— Kto idzie?

— Generał Dąbrowski z adjutantem — rozległa się z mroku przyciszona odpowiedź.

Wyprężył się, jak struna, pułkownik.

— Prezentuj broń! — wybiegł rozkaz z ust jego, i sam postąpiwszy kroków parę, czekał na zapytanie.

— Co słyhać, pułkowniku? — zapytał Dąbrowski.

— Cisza, spokój, generale — odrzekł pułkownik.

— Z drugiej strony nic nie słyhać?..

— Nic, generale...

— Nieprzyjaciel się nie zbliża?..

— Nie słyhać, generale...

— Obudzić trzeba wiarę, pułkowniku. Tylko patrzeć, jak nieprzyjaciel się zbliży i ruszy do ataku. Żeby was nie zaskoczył nieprzygotowanymi.

— Niech śpią generale—odrzekł pułkownik Małachowski—znużeni są, wyczerpani pochodem, nabiorą sił do walki. Ja czuвам, gdy spostrzegę coś podejrzanego, dam sygnał i wnet wszystka wiara na nogach stanie.

— A więc bacność, pułkowniku—rzekł Dąbrowski, i uściskawszy dłoń Małachowskiego, pomknął z kopyta do miasta, do pozostałych oddziałów.

A tymczasem nieprzyjaciel zbliżał się po ciachu, skradając się niedosłyszalnemi krokami.

General Lambert z korpusem swoim, złożonym z 11 bataljonów piechoty, 28 szwadronów jazdy, 4 pułków kozaków i 36 dział przedostać się zdołał na prawy brzeg Berezyny i pod osłoną lasu podszedł do uśpionego obozu polskiego na odległość strzału karabinowego.

Napotkali rozstawione placówki, lecz cóż, kiedy i one, ogarnięte znużeniem, spały, wsparte na karabinach.

Zniesiono je w jednej chwili i z gromkim okrzykiem „ura“ rzucili się Rosjanie na szaniece, myśląc, że zastaną tam wszystkich śpiącymi i że łatwe odniosą zwycięstwo.

Lecz rachuby ich okazały się omylnymi. Prawda, wszyscy żołnierze spali, lecz czuwał stary wojak, stary lew, pułkownik Małachowski.

Posłyszawszy podejrzane odgłosy, błyskawicą przebiegł od ogniska do ogniska, budząc wiarusów, nakazując im szykować się do boju.

W jednej chwili stawała wiara na nogi, chwyciła za broń i w milczeniu, groźna, nieustraszona, czekała na zbliżenie się nieprzyjaciela.

To też gdy siły rosyjskie rzuciły się na szaniece, napotkały się tam z nastawionymi do ataku bagnietami 1 pułku; reszta załogi schwytyła za broń akurat w chwili, gdy atakujący Rosjanie przebywali parapety szaniec.

Wewnątrz okopu zaczęła się walka zacię-

ta... Żołnierze, jakby ogarnięci furją nienawiści, dławili się w ścisku, miażdżyli się nawzajem kolbami karabinów.

Wreszcie żołnierze pułkownika Małachowskiego wyparli nieprzyjaciela, odzyskali szaniec. Pułkownik Sieniawski ze swoją wiarą obsadził ważniejsze punkty, odpierając zwycięsko szarżę rosyjskiej konnicy.

Tymczasem kolumna rosyjska oskrzydliła okopy, docierała do mostu, gdy nadbiegł bataljon 14 pułku polskiego, atakiem na bagnety odparł wroga i obsadził karczmy, leżące po obu stronach drogi u wylotu mostu.

Uspokoilo się trochę. Rosjanie cofnęli się, jakby zawieszając walkę.

Zaczęło świtać. Z pierwszym brzaskiem dnia general Lambert przypuścił nowy atak na całą linię.

I tym razem jednak cofnąć się musiał ze stratą.

Widząc, że nie da w ten sposób rady, powstrzymał dalsze działanie jazdy i piechoty, i z dział ostrzeliwać zaczął przedmieście, którego wały lichą stanowiły zasłonę dla Polaków.

Ogień ten był morderczym. General Dąbrowski, który z oddziałem swoim chciał przyjść z pomocą, zawrócić musiał z drogi.

Od 6 rano do 3 popołudniu trwał bój rozpaczliwy. Garść zamkniętych w szańcu Polaków.

ków bronila się wielokroć przemagającym siłom nieprzyjacielskim. Wreszcie, gdy o godz. 3 popołudniu przybyły Rosjanom świeże posiłki, wykonali Polacy fałszywy atak i zwiódłszy nim nieprzyjaciela, w porządku cofnęli się do Borysowa, by połączyć się z Dąbrowskim.

Ani jeden jeniec nie dostał się w ręce rosyjskie. Zdobyczą ich stał się poryty kulami szaniec przedmostowy, zavalony górami trupów, z czterema działami zagwożdżonemi.

Opanowawszy szaniec, puścili się Rosjanie pędem przez most. Napróżno Dąbrowski starał się go im odebrać, napróżno atak przypuszczał za atakiem—przemagające siły nieprzyjacielskie odniosły zwycięstwo i most pozostał w ręku Rosjan.

W krwawym tym boju straty polskie były bardzo znaczne. Legło ich w zabitych i rannych około 1800, a w tej liczbie byli prawie wszyscy generałowie i oficerowie.

Lecz i Rosjanie ponieśli dotkliwie straty. W boju z garścią zaledwie, gdyż 3 500 żołnierzy polskich, stracili około 2,000 zabitych i rannych.

Dąbrowski wysłał wnet z wieścią o stracie mostu do marszałka Oudinot adjutanta swego, Józefa Szymanowskiego.

Gniewnie przyjął marszałek zwiastuna kłęski, wybuchając:

— Jakto, jedyny most, na który cesarz ra-

chował, jest w ręku Rosjan? Wiesz pan co? ten wasz generał zasłużył na rozstrzelanie.

I Napoleon z oburzeniem przyjął tę wieść, zarzucając staremu, zasłużonemu wodzowi Polaków, że reduty nie zostały obsadzone. Zapomniał o tem, że dzięki nieopatrzności Francuzów redut nie było... że dzięki właśnie temu połowa Polaków legła, nim odstąpiła mostu.

Niedługo czekał Dąbrowski na pomszczenie swej kłęski.

Czoło kolumny polskiej, złożone z ułanów, natknęło się w okolicy Bobru na oddziały rosyjskie, ścigające oddział Dąbrowskiego.

Zaiskrzyły się oczy ułanom. Kapitan Garliński, podążający tuż obok dowodzącego oddziałem generała Castex'a, zwrócił się do niego z krótkim zapytaniem:

— Uderzymy na nich, dobrze?..

A gdy generał lekkim skinieniem głowy przytwierdził mu, uniósł się w strzemionach, wyciągnął szablę, i zwracając się do swoich wiarusów, gromkim zawołał głosem:

— W nich!.. bij, zabij!..

Jak burza runęli ułani na zwarte kolumny wojsk Pahlana. Nie spodziewały się one tak raptownej szarży gromady 800 szaleńców.

Niedługi czas upłynął, gdy Rosjanie w nieładzie rozproszeni zostali, nie wiedząc sami, co czynić mają.

A tu z drugiej strony przybył Polakom z po-

mocą oddział kirasjerów francuskich, 2,000 żołnierzy rosyjskich dostało się do niewoli.

Lecz nie na tem był koniec tryumfów dnia tego. Nie czekając na świeże posiłki, ruszył generał Castex do ataku na Borysów.

Popłoch tam już panował niebywały. Wojska rosyjskie w nieładzie i przerażeniu przed tą garścią rozbitków, wynędzniałych, obdartych, a jednak jeszcze tak groźnych, uchodziły na prawy brzeg Berezyny.

Bataljony pułku piechoty Sierawskiego, które tak mężnie walczyły w szaciu przedmowym, wynurzyły się z lasu, jakby chcąc pomścić towarzyszy, a ułani galopem wpadli do miasta.

Raz jeszcze rozbito Rosjan. Zagarnięto mnóstwo jeńców, zabrano cały tabor dywizji gen. Lamberta i Langerona.

Klęska pomszczona została.

Niestety jednak zwycięstwo nie było pełnem. Rosjanie, uchodząc, zdołali most podpalić, komunikacja z prawym brzegiem przerwana została.

Lecz nic to. Napoleon nie stracił ani energii, ani przytomności umysłu. Otrzymane posiłki i odniesione zwycięstwa dodały mu sił.

Nakazał szukać wszędzie brodu, i oto lansjerzy polscy przynieśli mu wieść radosną, że pod Studzianką znaleźli go... że konno, a nawet od błedy i pieszo przejść rzekę można.

Tylko że woda zimna bardzo a i kra gęsto płynie.

Cóż to jednak znaczy dla Wielkiej armji Napoleona, która już tyle zwycięstw z nim święciła, która jeszcze i teraz, pomimo swej nędzy i opuszczenia, groźną jest dla nieprzyjaciela.

Skierował się cesarz pod Studziankę, stanął przy brodzie owym i generałowi Eblé nakazał budować tam mosty, po których przejśćby mogła cała armja jego.

Armja? Szczątki jej, niedobitki.

I oto brodaci, rośli saperzy, po szyję siedząc w lodowatej wodzie, zbijają ten most, śpiesząc się, by wykończyć go jaknajśpieszniej, wiedząc dobrze o tem, że od ich pośpiechu zależy ocalenie reszty towarzyszy, ocalenie resztek wielkiej armji.

Wre więc praca, i choć niejednego z nich prąd porwie, choć prawie wszyscy narażeni na śmierć z przeziębienia — głupstwo. Pracują gorliwie, wiedząc dobrze, że śmiercią swoją ocalą życie cesarzowi i tysiącom towarzyszy...

Przykładem im w tej ciężkiej pracy jest wódz ich generał Eblé.

Sam pierwszy idzie w wodę, sam wskazuje im, co robić mają, sam kieruje całą pracą.

A tam, na północy wre walka. Wojska ro-

syjskie nacierają prawie bez ustanku, chcąc przeszkodzić tej budowie, chcąc przerwać ją.

Lecz natarcia ich dzielnie odpierają szeregi marszałka Oudinota i Ney'a.

Działa grzmią bez przerwy prawie, a ułani ks. Poniatowskiego ciąglemi szarżami odpędzają uwijających się wokół kozaków.

Lecz na czele ich nie widać wodza. Nie on wiedzie ich do ataku, nie on niemi kieruje.

Na czele ich stoi generał Zajączek, podczas gdy ks. Józef, uwięziony w karecie, z powodu zwichniętej nogi, z oddali patrzeć musi na walki tych wiernych, tych oddanych wiarusów.

A praca nad mostem wre.

Skończono go wreszcie.

Cały zgromadzony tłum już, już ma rzucić się przez niego, lecz oddziały żandarmów cesarskich wstrzymują ich, nie dopuszczają do tego.

Rozlega się rozkaz:

— Dywizja generała Legrand'a, dywizja generała Dąbrowskiego i marszałka Oudinota przejdą pierwsze przez most, by zasłonić odwrót.

I oto przechodzą przezeń szeregi zbrojnych, zdatnych do walki ludzi.

Przechodzą, i rozstawiają się w znacznej odległości, by zasłonić odwrót, by nie dopuścić do ataku nieprzyjaciół widniejących zdala.

Tymczasem przez most tłoczy się zwartą masą fala ludzka, tłoczą się wozy, działa, żołnierze piesi i konni.

Pędzą naprzód, spychają się w nurty rzeki, byle tylko przejść pierwszymi, byle tylko ocalić życie.

Gna ich tak widmo kozaków, widmo nieprzyjaciela, jakby siedzącego im na karku.

Wykończono i drugi most.

Przeszedł przezeń cesarz ze sztabem, a za nim runęła reszta wojsk.

Prą naprzód, pchają się, byle naprzód, byle prędzej.

Już znaczna część tej potężnej fali ludzkiej przedostała się na drugą stronę.

Noc zapadła. Mroźna, pogodna noc listopadowa. Srebrzyste promienie księżyca oświetlają to mrowisko ludzkie, snujące się po obydwóch brzegach rzeki, tłoczące się przez most.

Naprzód! naprzód! Byle tylko ująć śmierci, byle tylko uniknąć zagłady.

Naraz słychać trzask złowrogi. I wali się belkowanie mostu, a działa, wozy, konie, ludzie sypią się z niego do rzeki.

To pod naporem i ciężarem przechodzących załamał się most, a idący z tyłu napierają będących na przedzie, spychając w nurty.

Krzyk rozpaczny, jęki bólu, klątwy, wzywania Boga, istne piekło.

Szczęci z mostu, zanurzeni w wodzie,

resztkami sił chwytają się kurczowo sterczących z wody belkowań, trzymają się ich, lecz napróżno.

Lodowate zimno odbiera im siłę, paraliżuje ich, puszczają się i porwani prądem dają się nieść w dal, wyczerpani w śmiertelnej walce z rozpętanym żywiołem.

Wiele pracy kosztowało, zanim zdołano powstrzymać cisnącą się nawałę ludzką.

Zatamowano ich jakoś i generał Eblé z saperami swymi przystąpił do naprawy mostu. I znów po szyję idą w wodę nieszczęśni saperzy i znów mimo mrozu czoła ich okrywają się potem, byle tylko most został naprawiony, byle tylko zdobyć przez niego przeprawę.

Na drugim brzegu stoi cesarz i zachęca ich do pracy, do czynu.

— Krzyże dla wszystkich!—woła.

Smutny uśmiech wykrzywia usta generała Eblé:

— Najjaśniejszy panie! niewielu z nich te krzyże otrzyma, gdyż o ile nie zginą w nurtach rzeki, to i tak śmierć ich czeka z przeziębienia. Dostaną krzyże mogilne.

A tam, na lewym brzegu rozpaczliwe walki stacza z 40,000-ną armją Witgenstejna korpus marszałka Victora, liczący zaledwie 6,000 ludzi. Ostatnim wysiłkiem odpiera on natarcia nieprzyjaciół, byle tylko armja cała przeszła, byle tylko ona ocalała.

Rzucone na pastwę dla ocalenia reszty, pułki polskie i badeńskie, rzucają się jak szalony na atakujące pułki rosyjskie.

Atak za atakiem, szarża za szarżą, wszystko odparte, nieprzyjaciel idzie w rozsypce.

Lecz oto występują wyborowe oddziały gwardji rosyjskiej. Żołnierze rośli, wypoczęci, w świeżych, błyszczących mundurach.

A naprzeciwko nich garść ułanów polskich, obdartych, obszarpanych, wychudłych, na koniach, podobnych do szkieletów.

Lecz zato oczy tej garści straceńców płoną jak węgle, ręce kurczowo zaciskają szable. Czekają tylko na znak do szarży! do ataku!

Ha, jak zginąć, to już lepiej w walce, lepiej w boju, niż gdzieś z głodu i zimna, pod płótem, w mękach straszliwych!

— Naprzód!—rozlega się wreszcie komenda; dowódzca machnął szablą i oddziałek cały z impetem runął na nieprzyjaciela.

Szable polskie tną i siekają, nie żałując. Co raz któryś z jeźdźców rosyjskich zwala się z konia.

A oni prą naprzód, prą, mordując bez litości.

Jeńców dziś nie biorą. Niewolno. Cesarz zabronił, gdyż swoim niema co dać jeść... A więc od ciosów szabel polskich gęsto trupy padają.

A na czele ich bieży kapitan Habdank.

On teraz dowodzi niemi.

Wszyscy wyżsi oficerowie upadli na siłach od trudów wojennych. On jeden jest najstarszy rangą, on teraz prowadzi do boju.

I z ust jego pada coraz tylko jeden okrzyk:

— Naprzód! naprzód na nich!

I szabla jego tnie i rąbie bez litości, z jakąś dziką zawziętością. A w ślad za nim dążą towarzysze broni.

— Naprzód! naprzód!

I oto zakolysał się przed nimi olbrzymi biały sztandar z wielkim czarnym orłem dwugłowym. Ha, zdobyć go, zdobyć, jakby w odwet za te, które tam pod Orszą zostały spalone.

I prze Habdank w tamtą stronę, ostatnim wysiłkiem, resztkami energii.

Jeszcze cięć parę, jeszcze paru kirasjerów legło zabitych i jest już przy sztandarze.

Chorąży broni się szablą rozpaczliwie, lecz on nie pyta. W jednej chwili szabla wylata z osłabłej dłoni chorążego i sztandar, wyrwany mu siłą, dostaje się do rąk Habdanka.

Powiał nim z dumą w powietrzu, a kirasjerzy, z okrzykiem rozpacz, rzucili się naprzód, by mu go wydrzeć. Lecz próżne ich wysiłki! Podążyli mu wnet z pomocą towarzysze broni i przy ich pomocy odparł kirasjerów, zmusił do ucieczki, do rozproszenia się.

Oddziałek ułanów wracał z tryumfem do obozu. Przerzedzony był bardzo, coprawda,

lecz zato na czele ich podązał Habdank, niosąc z dumą sztandar rosyjski.

I gdy podeszli do miejsca, gdzie stał marszałek Victor ze sztabem swoim, kapitan Habdank pochylił przed nim ów sztandar, pokłonił się nim.

Marszałek i otaczający go generałowie obnażyli z czcią głowy przed tą garścią walecznych. Więc nie jest jeszcze tak źle, gdy rozpraszają nieprzyjaciela, zdobywają sztandary...

Nieprzyjaciel cofnął się. Droga do odwrotu wolna.

Marszałek Victor począł się posuwać ku mostom, by przejść przez nie, lecz tam działy się straszne sceny.

Całe tłumy maruderów rzuciły się na nie, spychając wszystkich, odtrącając, byle tylko przejść na drugą stronę, byle tylko ocalić życie!

Stawiających im opór gryźli, szarpali zębami i paznogciami i wreszcie, złączeni z nimi śmiertelnym uściskiem, staczali się w nurty wód, gdzie ginęli na wieki.

I znów rozległ się trzask złowrogi i znów rozleciało się belkowanie mostu i tłum uciekających zwałił się w rzekę, niknąc w jej nurtach.

Rzucono się do pozostałych mostów.

Tam ścisk i tłok powiększyły się jeszcze.

Najniebezpieczniejsze były kobiety, które towarzyszyły w tej wyprawie swym mężom lub ojcom.

Brutalnie, bezlitośnie odtrącano je, spychano w fale rzeki, byle sobie tylko utorować drogę.

Lecz bywały też i wypadki poświęcenia bez granic.

To żołnierz prznosił rannego wodza, to brat brata, przyjaciel przyjaciela.

Wreszcie przewaliła się ta cała nawała ludzka.

Dwa dni i dwie noce trwała ta straszna przeprawa.

Dwa dni i dwie noce walczył z nacierającym nieprzyjacielem marszałek Victor.

Wreszcie drugiego dnia o zmierzchu otrzymał rozkaz od cesarza:

«Cofnąć się!»

Oddziały jego zaczęły ściągać ku mostowi i powoli przeprowadzać się przez rzekę.

Kapitanowie Habdank i Garliński, którzy wciąż prawie, bezustanku nieomal, byli w ogniu, na wieść o mającym nastąpić odwrocie, pobiegli do opuszczonego taboru.

Tam, na wozie, otulony futrem, leżał porucznik Wicherski, pod opieką zacnego Cien-ciary. Rana jego goiła się normalnie, i tylko silne osłabienie nie pozwalało mu wsiąść na konia.

Nie chciał też przeprowadzić się wraz z innymi, i na wszelkie nalegania kapitana Janka odpowiadał z uporem:

— Nie, pozostanę tu. Jeśli ty zginiesz, zginę i ja: jeśli ocalejesz, przejdziemy razem.

I pozostał w swym wózku, konie od którego zabrali maruderzy, pozostał, błyszczącym spojrzeniem przyglądając się przebiegowi bitwy.

Nie mówili nic z sobą prawie, gdy Janek podjechał do niego.

— Prędszej!.. prędszej!.. — wołał tenże — wstawaj, usiądziesz przy mnie na koniu i przeniosę cię przez most!

Pomagał Stachowi podnieść się na wozie, i podczas gdy ręce tegoż otaczały szyję jego, usadowił go na siodle przy sobie, i tak spleceni serdecznym uściskiem, podążyli naprzód, ku temi mostowi, przez który przeprowadzały się właśnie smutne szczątki wielkiej armji.

Przeszły one.

Zamykający odwrót oddziałek ułanów pilnował porządku. Już mieli i oni wkroczyć na most, gdy naraz dał się słyszeć krzyk.

— Kozacy!.. kozacy!..

Dowodzący ułanami kapitan Habdank, spojrzawszy w stronę lasu i dojrzał wysuwającą się z niego gromadkę kozaków, czyhających, jak wilki na zdobycz, na przechodzących maruderów.

Zawrzała w nim krew. Ścisnął szablę w rękę i gromkim głosem skomenderował:

— Naprzód!.. za mną!..

Runęli za nim ułani, gdy naraz rozległ się huk salwy.

To kozacy wystrzelili z karabinków.

Kapitan Habdank, rażony kulą w piersi, wypuścił z ręki szablę, rozkrzyżował ręce i pozwoli zsunąć się z konia na ziemię.

Otoczyli go wnet zwartym kołem towarzysze broni, poskoczyli ku niemu i kapitan Garliński i z trudem trzymający się na nogach porucznik Wicherski.

A on, leżąc na ziemi, zbroczone krwią, powiódł po nich zamglonemi oczami i z trudem wyszeptał:

— Nic to... Bratnia powaliła mnie kula... Teraz mogę wyjawić mą tajemnicę... Jam Zenobi Habdank Chmielnicki... potomek zdrazieckiego hetmana, co Polsce taką krzywdę uczynił. Naprawić chciałem winę pradziada. Walczyć chciałem za Polskę i wolność jej zdobyć... Los nie dał. Umieram... umieram na swojej ziemi... od kuli kozackiej... Bóg... Ojczyzna... Ha...

I wyprężył się w ostatniej męce potomek hetmański, co winę pradziada chciał odkupić, na ustach jego krwawa ukazała się piana, i skonał.

Ze łzami w oczach, w milczeniu stali wokół towarzysze broni.

Pierwszy ocknął się z zadumy kapitan Garliński.

— Bracia!—zawołał—nie pozwolimy, by ten wierny druh nasz został tu, niepogrzebany, na pastwę wilków i kruków. Wykopmy mu mogiłę i pogrzebmy uczciwie.

I wnet jęła się pracy gromadka wiarusów.

Szablami, bagnietami, co kto miał pod ręką, ryć poczęto mogiłę dla niego.

A gdy dół wykopano dość głęboki, spuszczone do niego zwłoki potomka hetmanów, a za całun posłużył mu sztandar pułku, który z czcią taką przechowywał i w obronie którego zginął.

Rzucono ostatnią garść ziemi na mogiłę jego, zmówiono krótki pacierz i szczupła gromadka niedobitków polskich ruszyła w stronę mostu.

Ruszyła, niepewna, czy ich wkrótce ten sam los nie spotka, czy i oni nie znajdą mogił na tej niegościnniej ziemi.

A wielu nawet w skrytości ducha zazdrościło nieszczęsnemu losu jego i śmierci zaszczytnej.

Ci, co pozostali tam, stać się mieli pastwą wilków i naciągających wojsk rosyjskich.

Zakończenie.

I sunie naprzód wielka armja Napoleona.

Lecz nie ta butna, hałaśliwa, pewna że świat cały podbije, że wszystko władzy swej podda i panować będzie nad światem całym, i rządzić nim, i kierować.

Gromada oberwanych, poobwijanych w szmaty, byle tylko uchronić się od przejmującego zimna, ludzi, bez broni, której nie mogą utrzymać przemarznięte dłonie, wlecze się z trudem drogą, oglądając się z trwogą, czy nie widać gdzie nieprzyjaciela.

Uleciały z ich głów górne myśli o zwycięstwach i zdobyczach. Ulotniły się rojenia o nagrodach i rangach.

Każdy z nich myśli tylko o tem, ażeby ogrzać się, nasycić trapiący głód, ażeby unieść całe życie.

A wkoło krąży nieprzyjaciel, coraz atakuje, szarpie, urywa, nie daje ani chwili spokoju.

Toż marszałka Oudinot, zaraz po przejściu Berezyny, otoczył oddział kozaków.

Marszałek miał przy sobie tylko 50 ludzi, i niewiadomo, jaki obrót przybrałaby cała sprawa, gdyby nie był nadciągnął z korpusem swoim Davoust.

Po drodze przejścia tych smutnych resztek pozostawały trupy, okrywane całunem śniegu.

Kapitan Garliński, trzymając porucznika Sta-

cha przed sobą na siodle, dążył za innymi, myśląc już teraz tylko o ocaleniu druha.

Niedługo jednak cieszyć się mogli koniem. Padł on, wyczerpany drogą, oraz podwójnym ciężarem, który dźwigać musiał i wnet otoczyli go maruderzy, i w chwil parę rozerwali na strzępy.

Chciał przeciw temu protestować kapitan, lecz miny ich i postacie były tak groźne, że wolał cofnąć się spokojnie, niż narażać się na pewną utratę życia.

Nie było co robić, trzeba było piechotą iść naprzód...

Podpierając się wzajemnie, szli powoli przed siebie, kierując się ku Smorgoniom i Wilnu.

Zmrok zapadł, nogi odmawiać już zaczęły posłuszeństwa, gdy naraz zobaczyli jakąś wioskę.

Przyśpieszyli kroku, myśląc, że znajdą tam jakieś schronienie, lecz spotkał ich srogi zawód:

Chaty wszystkie zajęte były przez wcześniej przybyłych i ani kawałeczka miejsca nie było pod dachem.

Zrozpaczeni powlekli się dalej, gdy naraz pod jakimś wielkim parkanem, okrytym śniegiem, ujrzeli płonące ognisko, a przy nim siedzących znajomych oficerów.

Przysunęli się do nich i gościnnie do ognia zaproszeni zostali. Z rozkoszą wyciągnęli się przy nim.

Ach, jak on grzał ich przyjemnie!

Noc całą spędzili jako tako. O świtanu zerwali się, by iść dalej, gdy naraz wzrok ich padł na ów parkan, pod którym ochronę od wiatru znaleźli.

Stanęli jak wryci...

Toż parkan ten był stosem zwłok ludzkich, nazwalanych jedne na drugie... z twarzami wykrzywionymi bólem, skostniałych, sztywnych, przemarzłych.

Byli tam przedstawiciele różnych narodowości, armję Napoleona składających. W mundurach swych, skostniali w strasznym uścisku śmierci, leżeli z rozkrzyżowanymi rękami, z wzrokiem nieruchomym, utkwionym w szare, zachmurzone niebo, jakby czyniąc mu wyrzut za swą śmierć przedwczesną.

Przerażenie ich zdjęło.

Śpiesznie uciekać poczęli, i zdało się im, że trupy te wyciągają za niemi ręce swoje, że przyzywają ich do siebie.

— Poczekajcie trochę—szepnęła smutnie kaptan Janek—przyjdziemy niedługo tam do was.

Poszli dalej, i znów napotkali na wioskę, spaloną, wśród szczątków której widniał stos popalonych zwłok ludzkich.

Uciekli od tego przerażającego widoku, uciekli czempredzej, a zgroza i lęk przejęła ich serca.

Zbliżali się już do Smorgoń, gdy minął ich

szybko przejeżdżający powozik, poprzedzany przez oficera służbowego na koniu.

Z podniesionej budy powozika wyjrzała na chwilę marmurowa twarz cesarza.

Lecz żołnierze nie witali go już tak jak dawniej, okrzykiem:

— Vive l'Empereur!..

Ponurym wzrokiem, w milczeniu, odprowadzali go, jakby chcąc mu powiedzieć:

— Dlaczegoś poprowadził nas tak daleko?.. dlaczegoś powiódł nas na zgubę i na zatrącenie?

A on mknął dalej, przed siebie, śpiesząc się do Smorgoń, gdzie już czekała na niego kwatera.

Nie długo tam popasał.

Przyzwawszy do siebie marszałków, oznajmił im:

— Wielka armja jest rozbita... Ratujcie resztki, ja zaś podążę do Paryża, by zebrać tam nową armję i na wiosnę wyruszyć z nią w pole. Murat poprowadzi wojska. Sprawialiście się jak bohaterowie... Dziękuję wam za to...

A na te jego słowa rzekł Daru:

— Najjaśniejszy panie, nie czyń tego... Wojsko ten wyjazd twój poczyta za ucieczkę i do reszty się zdemoralizuje.

Do zdania tego przyłączył się i Maret, książę Bassano.

Lecz Napoleon odrzekł stanowczo:

— Muszę tak uczynić... zmuszają mnie do tego wyższe względy... Duroc, Caulaincourt, Loban i Roustan, towarzyszą mi. Kapitan Wąsowicz będzie mi przewodnikiem.

Wobec tak kategorycznego powiedzenia nie mówili już ani słowa zebrani marszałkowie.

Tymczasem przez zajazd zajęchały wielkie kryte sanie, w parę rosłych koni zaprzężone.

Ucałował cesarz wiernych marszałków swoich, wsiadł do sań z towarzyszami swemi, i pomknął bocznymi drogami czempredzej w stronę Warszawy, a stamtąd dalej do Paryża, by ratować zagrożony gmach cesarstwa.

Wiść o ucieczce cesarza rozeszła się w parę dni potem. Wojsko przyjęło ją z oburzeniem, i dyscyplina, rozluźniona i tak, do reszty się rozpręgła.

Murat nie mógł dać sobie rady z temi szczątkami, z których olbrzymie mrozy coraz nowe wrywały ofiary.

I wreszcie w dniu 13 grudnia wkroczyły do Kowna resztki wielkiej armji.

A liczyła ona wszystkiego 1000 żołnierzy uzbrojonych, 9 armat i 20,000 maruderów.

Opuściła wreszcie wielka armja granice niegościnnej Rosji, która stała się dla niej jedną wielką mogiłą.

A ostatnim opuścił stanowisko swoje, po całym szeregu bohaterskich utarczek, mar-

szalek Ney, ksiązę Elchingen, ksiązę Moskwy.

* * *

Korpus polski, a raczej smutne niedobitki jego, zgromadził się w Wilnie, gdzie oczekiwał na nie ksiązę Józef.

Stamtąd skierowano się na Olitę, ku Warszawie.

Kapitan Garliński, który z trudem wraz z porucznikiem Wicherskim dowlec się zdołał do Oszmiany, tam za nader drogą cenę nabył konia i wózek i powiózł przyjaciela dalej, do Wilna.

Przyjęci gościnnie przez wilnian, mogli cokolwiek odpocząć, nabrać sił do dalszej drogi.

W mieście zebrali się wszyscy najprzedniejsi dowódcy armji Napoleona: Murat, ks. Eugenjusz, Berthier, Davoust, Oudinot, Victor i masa generałów, lecz nie było żołnierzy, którymi mieli dowodzić.

Korpus Poniatowskiego, po zebraniu się wszystkich niedobitków, wyruszył w powrotną drogę do Warszawy.

Lecz jakże był inny od tego, który z taką butą i pewnością siebie szedł na krwawy bój dla odbudowania ojczyzny!

Gdzież się podziały te tysiące walecznych i pięknych żołnierzy, gdzież te działa, gdzież te rumaki?

Szczupła garść obdartych wojowników reprezentuje tę piękną niegdyś, sławną armję polską.

Lecz sztandary swoje niosą wszystkie, nie utracili z nich ani jednego.

I dążą prosto do stolicy, do Warszawy.

Mieszkańcy wiedzieli już o klęsce, wiedzieli już o porażce.

Wyszli też na spotkanie tej szczupłej garści, tych smutnych resztek, a w oczach ich widniały łzy, a na twarzach ból był wryty.

Nie witają ich już pełne tryumfu i zapału okrzyki, nie widać objawów radości...

W milczeniu, cicho, posuwała się naprzód garść nieszczęsnych rycerzy.

Na czele ich dążył wódz, ksiązę Józef Poniatowski.

A gdy stanął przy pałacu swym «pod Błachą», obejrzał się na dążącą za nim szczupłą garść niedobitków, na te postacie wychudłe, wynędzniałe, nad głowami których powiewały sztandary z białymi orłami.

Obejrzał się na nie, chciał coś przemówić, lecz łzy głos mu zatamowały, nie mógł wyrzec ani słowa, zeskoczył tylko z konia i wpadłszy do pałacu, ukrył się w swojej komnacie.

A smutne resztki zastępów polskich, z głowami opuszczonemi na piersi, przygnębione, nie uradowane wcale z tego powrotu do ziemi rodzinnej, rozeszły się do swoich kwater.

Smutni, przerażeni mieszkańcy miasta nie doliczyli się wśród nich wielu z tych, których z takim entuzjazmem i radością żegnali przed niedawnym czasem.

Ksiązę Józef ze wzruszenia nie mógł mówić do swej wiary, nie mógł mówić nawet i wtedy, gdy w parę dni potem, pułkownik Szymanowski przywiódł z Wilna pozostałych czterystu żołnierzy, chorągwie całej piechoty i całą artylerję polską.

Wiarusi, niosący sztandary, stanęli przed pałacykiem «pod Błachą», a ksiązę Józef, któremu znów noga srodze dokuczala, tak że nie mógł chodzić, polecił się znieść do nich.

W milczeniu, pełni rozrzewnienia, otoczyli go wiarusi. Jeden po drugim składali u stóp jego orły pułkowe. Przyglądał się im ze wzruszeniem, zda się pieścił je wzrokiem, liczył...

Naraz spostrzegł, że brak jednego.

— A gdzież się ten orzeł podział? — spytał ksiązę z rzewnym uśmiechem na ustach.

— Ach! — wykrzyknęli naraz wszyscy wiarusi — jest tam ta kukułka, ale ponieważ kula armatnia urwała jej głowę, nasz towarzysz wstydził się pokazać ją w tym stanie żalnym... No, chodź, chodź... zbliż się tu, to nie twoja wina.

I zapominając o mękach przeżytych, zapominając o cierpieniach i nędzy swojej, wy-

buchnęli głośnym śmiechem, wypychając na przód młodzieńca w lachmanach, tak jak wszyscy, z ręką na temblaku.

Młodzieniec sięgnął do kieszeni płaszcza, zwieszającego się w strzępach z ramion jego, i wydobywając z niej uszkodzonego orla, z miną pełną zakłopotania zaczął się tłumaczyć z przyczyn tego uszkodzenia.

Lecz towarzysze wyręczyli go w tem, wołając:

— A to dlatego się stało, że towarzysz jest bardzo młody i zawsze wysuwał się naprzód!

Księcia przejęło rozrzewnienie, ból i żal, że tyle bohaterstwa, tyle odwagi i poświęcenia poszło na marne.

W oku jego zakręciła się łza, więc podniósł rękę, by ją obetrzeć.

Dostrzegli to wiarusi i w prostocie serc swoich, myśląc, że martwi się on tak stratami poniesionymi, otoczyli go kołem, wołając:

— Nie martw się tak, książę nasz i paniel! Powrócą wkrótce armaty nasze, powrócą!... Niech wasza książęca mość będzie spokojny, ci, co je prowadzą, nie mogą tak śpieszyć, jak my, bo to daleko cięższe.. Ale przyjdą za kilka dni. Kiedy nam konie pozdychały, albo kiedyśmy je zjedli, sami zaprzęgaliśmy się do naszych armat. Bądź tylko zdrów, nasz książę, a zobaczysz, że wszystko będzie dobrze! Pójdziemy za tobą chociażby do piekła!

Przemowę tę przyjęli wszyscy okrzykami, zapal błyszczał w oczach wiarusów, choć lachmany okrywały ich grzbiety, a nogi były bose i pokrwawione.

Czapki w strzępach wylatywały w górę, a ręce szukały oręża, by czynem dowieść ukochanemu księciu prawdy tych słów.

Zdławiło coś księcia za gardło. Nie mógł przemówić ani słowa ze wzruszenia. Ucisnął tylko za głowę kilku z najbliższych swych wiernych i z trudem tłumiąc płacz, co mu pierśi rozrywał, kazał się nieść z powrotem do pałacu.

Wyraz swych uczuć dał wkrótce książę Józef w wydanej «Odezwie do Wojska Narodowego».

Mówił w niej:

«Żołnierze! W odezwie, którą dziś do waszej podaję wiadomości, niosę wam najchlubniejszą, polskich rycerzy jedynie godną nagrodę: głos wdzięcznej Ojczyzny za zapewnioną krwią waszą na zawsze sławę imienia Polaków. Otworzy się jeszcze męstwu waszemu pożądana do nabycia w boju nowych zasług pora. Lecz nim przyjazne losów Ojczyzny koleje zwycięskimi wam uwieńczyć się pozwolą wawrzynami, cieszcie się, że duch was ożywiający jest duchem całego Narodu. Wkrótce bracia wasi, powołani do świętego stawienia się na obronę ziemi polskiej obowiązku, ubie-

gać się będą o zaszczyt dzielenia z wami wojennych trudów. Wkrótce nowych wojowników hufce, obok waszych umieszczone szeregów, ochoczo w wasze wstępując ślady, dowiodą, że nie powierzchowność, ani jednostajność, ale święta miłość Ojczyzny i odziedziczona od przodków waleczność, zrównały polskiego żołnierza z niezwyciężonemi pierwszymi w świecie wojska rotami. Będziecie pewnie. umieli cenić tak szanownych braci waszych i współobywateli zapał, a wspierając doświadczeniem waszem pierwsze ich w polu sławy kroki, raz jeszcze okażecie światu, że Polak jak dla Ojczyzny się rodzi, tak zawsze dla niej gotów jest umierać!»

Odezwa ta, rozrzucona w tysiącnych egzemplarzach, wywołała wszędzie niebywały zapał i uniesienie.

Tysiące Polaków śpieszyło, by stanąć pod sztandarami wojsk polskich, by wypełnić przewidziane kadry, by iść dalej walczyć pod cesarzem Napoleonem za Ojczyznę!

Dotarła ona i do zakątka, gdzie porucznik Wicherski leczył się z ran swoich pod opieką kapitana Garlińskiego.

Przeczytali ją jednym tchem, wzruszeni, przejęci tem wezwaniem ukochanego wodza, i pierwszy porucznik Wicherski rzekł:

— Pójdziemy!...

A na to, jak echo, odrzekł mu kapitan Garliński:

— Pójdziemy!

I jednocześnie przejął ich smutek wielki, że nie będzie z nimi Habdanka, że nie będą znów obok siebie walczyć o umiłowaną Ojczyznę.

A na bezimienną mogiłę «potomka hetmańskiego», na zroszonych obficie krwią brzegach Berezyny, gęsto padały białe płatki śniegowe, otulając ją grubym całunem...



75640/3

MOJA BIBLIOTECZKA.

POWIASTKI i OPOWIADANIA DLA DZIECI i MŁODZIEŻY
D) PRZYGODY. — PODRÓŻE.

5. Przygody Robinsona Kruzoa. Z rycin. kol. w opr. — 55
14. Podróż do środka ziemi, przez *J. Verne*, streściła Antoszka. Z rycinami, w oprawie — 50
22. Przygody dwóch chłopców w Sjamie. Z angielskiego, przez *H. Wernica*, z 7 ryc., w opr. — 65
28. Przyjaciel Edwardka. Powieść dla młodzieży, przez *E. Berthet*, opr. Br. Brzozowski, z 6 ryc. w opr. — 60
30. Przez ogień i przez lasy. Zajmujące przygody dwójga dzieci przez *E. S. Ellisa*, w oprawie — 55
33. Młodzieź w pięciu częściach świata, przez *Eligjusza Berthet*. Wydanie II, z 40 rysun. w oprawie — 65
43. Pierwsi ludzie na księżycu, podług *C. H. Wellsa*, streściła *M. Strebekko*, z 16 rycinami — 55
59. W puszczech Afryki, opowiadanie przez *Juljusza Verne*, spolszczyła Br. Kowalska. Z 4 rycinami. — 65
51. Balonem do bieguna. Powieść dla młodzieży, napisał *Wł. Umiński* z 7 rycinami. — 65
60. Ludzie dorośli i ludzie mali w obcych krajach. Z angielskiego *E. R. Shaw*, spolsz. H. S. z 35 rys. w opr. — 50
66. Polowanie na wieloryby i kaszaloty. Opowiedział *F. T. Bullen*, z 4 rysunkami w oprawie — 60
67. Król przestrzeni. Powieść dla młodzieży, przez *J. Verne*, z rysunkami, w opr. — 60
81. Nasze siostrzyczki w krajach dalekich. Opowiadanie przez *Jane Andrews*, z rycinami, w opr. — 50
82. Białogłowy. Opowiadanie dla młodzieży, z angielsk. tłum. *A. B.*, w oprawie z rycinami. — 40
90. Robinson tatrzański. Opowiadanie z pierwszej połowy XIX stulecia, przez *St. Gębarskiego*. Wyd. II. z ryc., w opr. — 75
117. Szymon niewolnik. Powieść na tle prawdziwym z życia murzynów. Tłom. z niem. *L. Trzeńska*, w oprawie — 50

E) POWIEŚCI HISTORYCZNE.

16. Prz. gody towarzysza pancernego, według pamiętników napis. p. *M. Synoradzkiego*. Z ryc., w opr. — 55
20. Ostatnie dni Pompei. Powieść podług *Bulwera Lyttona*, z 15 rycinami, w oprawie — 55

TREŚC.

	Str.
XII W Moskwie	1
XIII. Początek końca	16
XIV. Odwrót.	33
XV. Krwawym szlakiem	43
XVI. Na Golgotę.	52
XVII. Berezyna	64
Zakończenie	84

104. Na zamku hrabiowskim. Opowiadania dla starszych dzieci *M. Bujno*. Z rys. A. Gawińskiego opr. — 60
108. Zaczarowane jezioro. Baśń *J. Oseki*. Z rysunkami A. Gawińskiego, w kolor. okładce — 55
115. Wakacje w Olszance. Podług listów Jani napisała *Emilja Węstawka* (dla dzieci od lat siedmiu) z rysunkami *J. Wołyńskiego* kart. — 60

B) OPOWIADANIA NA TLE PRZYRODY.

25. Takie sobie bajeczki. Wybór z *Rudyarda Kiplinga*, z 33 rycinami, w oprawie — 60
52. Strzępouch, Matka Liszka, Srebrnoplamik. Opowiadania z życia zwierząt, napisał *G. S. Thompson*, tłumaczyła *M. Arct-Golczewska*, z licznymi rysunkami — 50
53. Opowiadania prawdziwe i fantazyjne na tle przyrody, przez *K. Ewalda*, z licznymi rycinami — 50
72. Nowe opowiadania prawdziwe i fantazyjne na tle przyrody, nap. *K. Ewald*, z rys. w opr. — 30
83. Dwunożny ujarzmiiciel sił przyrody! Opowiadanie fantastyczno-przyrodnicze *K. Ewalda*. Z ryc., w opr. — 40

C) POWIEŚCI DLA MŁODZIEŻY.

8. W imię przyjaźni. Powieść, oprac. *H. Wernic*, z rycinami, w oprawie. — 55
15. Poprawa figlarki. Powieść dla panienek do lat 12, przerobiła z ang. *E. Węstawka*, z ryc. w opr. — 55
17. Dług Ojcowski. Powieść dla młodzieży, nap. *M. Jerlicz*. Z rycinami, w oprawie — 55
18. Wytrwałością a pracą. Powieść dla młodzieży, napisał *M. Jerlicz*. Z rycinami, w oprawie — 55
19. Syn marnotrawny. Powieść przez *E. Jerlicza*, z 5 rycinami, w oprawie — 55
29. Brat ociemniały. Powieść dla młodzieży p. *H. Greena*. tłóm. *H. Wernica*. Wyd. II, z rycinami w opr. — 60
44. Dawid Copperfield. Opowiadanie dla młodzieży, przez *K. Dickensa*, z 6 rysunkami — 50
64. Dzielný chłopiec. Powieść dla młodzieży, przez *Z. Kowerską* z 4 rysunkami, w oprawie — 70
73. Pałac z piasku. Opowiadanie przez *M. Bujno*, z 4 rys. *L. Ilinicza*, w opr. — 30
74. Mały bohater. Opowiad. z 6 rys. *A. Gawińskiego* — 25
79. Julek i jego sprzymierzeńcy. Powieść dla starszej młodzieży, przeł. z ang. *A. B.*, z rysunkami. — 60
80. Czarna Elka. Powieść, z opowiadania czeskiego przerobiła *M. Bujno*, z rys. *A. Gawińskiego*. — 50
87. Polna Róża. Lili. Dwie powiastki dla dorastających panienek, nap. *Iskierka*, z rycinami. — 50

89. Szlachetne serca. Miłosierdzie.—Niekochana.—Pocziwe zamiary. Powieści przez *Teresę Jadwigę*, z rycinami, w oprawie — 60
110. Dzielná dziewczyna. Opowiadanie *Teresy-Jadwigi*. Z 4 rycinami w opr. — 55
116. Jurek Bronicz. Powieść dla młodzieży *K. Wołyńskiej* w opr. — —

A) POWIASTKI I OPOWIADANIA DLA MŁODSZYCH.

1. Chata wuja Toma. Opowieść o losie niewolników podług *Henrietty Beecher Stowew* opr. — 55
2. Czerwony domek. Opowiadanie p. *A. Hoffmana* — 55
11. Dobre dziewczynki. Powiastki i opowiadania przez *Teresę Jadwigę*, z rycinami, w opr. — 55
12. Baśnie i powiastki *Andersena*, opracował *Zb. Kamiński* z 4 obrazkami kolorowemi, z ryc., w opr. — 55
21. Marchewka. Przygody małego chłopczyka. Powiastka z 36 rycinami, w oprawie — 55
23. Turkusik, Rubinek i Perełka. Powiastka dla małych dzieci, przez *Z. Budziszewską*, z 48 ryc., w opr. — 60
31. Kocia mama i jej przygody, z własnych wspomnień opisała *Marja Bujno* z licznymi obrazkami — 65
36. Opowiadania babuni dla kochanych wnuczka, podług *B. Schuman*, nap. *A. Domańska*, z 42 rys. *L. Ilinicza* — 55
37. Nowe opowiadania babuni dla kochanych wnuczka, napisała *A. Domańska*, z 40 rysun. *L. Ilinicza* — 65
40. Na wakacjach w Zalesiu. Opowiadanie dla dzieci, napisała *Marja Bujno*, z 27 rycinami — 55
41. Pamiętnik Stacha. Opowiadanie dla dzieci, napisała *Marja Bujno*, z 20 rycinami — 55
45. Bohater Pawełka.—Krzesełko Karolka—Polowanie na lisa—Pieszczoška. Powiastki. n. *M. Strebęjko*, z 13 obr.— 55
70. Ładnućkie powiastki dla małych dzieci, podł. angiels. opr. *M. Głotówna*, z licznymi ryc. w opr. — 40
71. Krótkie opowiadania i obrazki z życia zwierząt, opr. z ang. *M. Głotówna*, z lic. ryc. w opr. — 40
77. Król złotej rzeki czyli Czarni bracia. Opowiadanie dla młodzieży przez *J. Ruskina*, w przekładzie *M. Kreczowskiej*, z rycinami, w opr. — 35
88. Przygody Alinki w krainie czarów. Przez *L. Karrola*, przerobione z 90-go wyd. ang. z lic. rysunk. — 60
95. Co opowiadałem mojemu matemu synkowi. *J. Bidenkap*. Spolszczyła *J. G.*, z 10 rysunkami. w opr. — 60
- Poezje dla dzieci *M. Konopnickiej*. Wybór zrobiony przez autorkę, w opr. — —
98. Na skale mew. Dziwna przygoda dzieci. Powieść z francuskiego *J. Sandeau* Z 6 rys. — 70

24. Żołnierzyk burski. Powieść przez *A. Morzkowską*, z 48 rysunkami, w oprawie — 65
34. Z dawnych czasów. Powiastki z historii polskiej, przez *Mitę Koliskównę*. Cz. I, z 27 rys., w opr. — 65
35. — — Część II, z 18 rysun., w oprawie, — 65
- Cz. I i II razem w opr. ozdob. w płótno ang. 1 50
47. Słogowa i Trembowla. Dwa opowiadania dziejowe, przez *B. Gryt-Paciorkowskiego*, w oprawie — 50
55. Zemsta Jaśka, opowiadanie historyczne z XII wieku. Zareba, opowieść z lat dawnych, napisała *W. Szalayowa*, z rycinami *A. Brzostka* w opr. — 60
75. Tymko Orlik. Opowiadanie historyczne, nap. *A. Grudzińska* z rysunkami. — 30
76. Grześ z Sanoka. Opowiadanie historyczne podł. *J. I. Kraszewskiego*, opr. *M. Bujno*, z rys. w opr. — 30
84. Hanusia Wierzyńkówna. Powiastka z czasów Kazimierza Wielkiego, napisała *A. Domańska* z ryc. — 50
85. Dziewięć powiastek historycznych, przez *Z. Morawską* z rycinami w opr. — 40
100. Wielka wojna. Szkic historyczny w pięćsetną rocznicę zwycięstwa pod Grunwaldem. (1410 — 1910). Z rycinami, w opr. kart. 80 kop., w płót. ang. 1 —
105. W puszczy litewskiej. Powieść historyczna z XIII wieku, *St. Buraczewskiej*, z 4 rys. w opr. — 70
107. Witoldowi synowie. Powieść historyczna, *E. Jezierskiego*. Z 4 rys. *St. Sawiczewskiego* w opr. — 60
114. Jagienka. Opowiadanie na tle strasznych dziejów *A. Zielińskiej*. Z 4 rysunkami *H. Piątkowskiego*, w oprawie — 60

F) PRZYRODNICZE.

39. Miłe śpiewaki naszych pól, gajów i ogrodów, ich życie i obyczaje, skreśliła dla dzieci *Janina Omańkowska*. Z licznymi obrazkami, w oprawie — 40
50. Młody Chemik. Zbiór doświadczeń chemicznych dla młodzieży, p. *K. Scheida*, oprac. *L. Br.*, z rys. — 60
54. Co znalazłem w stawach i kałużach. Opowiedziała *Marja Weryho*, z licznymi rysunk. w opr. kart. — 40
57. Goście zimowi i inne powiastki z życia zwierząt, opowiedział *B. Dyakowski*, z rycinami, w opr. — 70
59. Co matka przyroda opowiedziała swym dzieciom, przez *J. Andrews*, tłum. *M. Kreczowska*, z rys. w opr. — 50
58. Czworo moich przyjaciół i inne opowiadania przez *J. Andrews*, tłum. *M. Kreczowska*, z rys. w opr. — 50

61. Zwróć oczy na przyrodę, napisała *Arabella B. Buckley*. I. Życie roślin, opracowała *M. Arct-Golczewska*, z 8 tablic. barwnymi i 35 rysunk. czarnymi, w opr. — 50
62. II. Życie ptaków, opracowała *H. Sterling*, z 8 tablicami barwnymi i rysunkami czarnymi, w opr. — 50
63. III. Życie w lesie i na łące, opracowała *M. Arct-Golczewska*, z 8 tablic. kolor. czarn. i rysunk. — 50
99. IV. Staw i rzeka. Podług angielskiego, z 8 tablicami barwnymi i licznymi rys., w opr. — 60
98. V. Życie owadów. Opracowała *M. Arct-Golczewska*. Z 8 tablicami kolorowymi i licznymi rysunkami, w oprawie — 60
78. VI. Drzewa i krzewy. Tłum. *M. Arct-Golczewska*. Z tablicami kolor. licznymi rys. w opr. — 50
68. O czym się Janek dowiedział. Opowieść przyrodnicza nap. *Emil Desbeau* z licznymi rys. w opr. — 70
83. Dwunożny ujarzmił sił przyrody. Opowiadanie dla młodzieży przez *K. Ewaldę* z rycinami, w opr. — 40
86. Z życia zwierząt w niewoli. Podług *K. Hagenbecka* z licznymi rycinami, w oprawie — 60
103. Wiosna i inne obrazki z natury, z licznymi rysunkami *M. Arct-Golczewskiej* w opr. — 70
106. Jak to było w lesie zimą. Opowiadanie chłopca. Napisała *J. Chrzyszczewska*. Z licznymi rysunkami i rycinami w opr. — 55

G) OPOWIADANIA GEOGRAFICZNE.

- Twoje ziemie, twoje wody Szkice malownicze z kraju napisał *K. Chmielewski*, z 9 rysunkami w opr. — 50
- Z teki turysty. Opis pieszej podróży po kraju przez *Z. Dybczyńskiego*, z licznymi rycinami w opr. — 60
- Eskimowie, ich życie i obyczaje, podług dzieła *F. Nansena*, z rysunkami w opr. — 45

KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY.

- Co dzieci czytały w chwilach wolnych. Zbiór wierszy i poezji przez *A. Dzeduszycką*. w opr. — 35
- Polne kwiaty. Wybór poezji dla młodzieży, napisał *K. Gliński*, z licznymi ilustr. w opr. — 60 i — 80
- Wakacje w Warszawie. Pogadanki o osobliwościach Warszawy, przez *W. Marrené*. Z rycinami, w opr. — 80
- Serce. (Pamiętnik chłopca). Najsympliczniejsza powieść dla młodzieży, napisał *Ed. Amicis*, przekład *M. Obrąpalskiej*, wyd. III, z 42 ryc., w opr. ozdob. 1 — w oprawie ozdobnej w płótno ang. 1 50

Galernik. Z powieści *Wiktora Hugo* p. t. *Nędzarze* opracowała dla młodzieży *St. Buraczewska*, z 40 rycinami rb. 1 kop. 20; w opr. ozdobnej w płótno ang. 1 50

Kazio. Powieść, przez *W. Marrené*. Z 5 ryc., w opr. 1 —

Łosy Adasia.—Ofiara.—Ona. Trzy powieści, przez *Z. Kowerską*. Z 4 ryc., w opr. rb. 1, w opr. ozd. 1 40

Paniczyk. Powieść dla młodzieży, przez *Z. Morawską*, z 15 rycinami, w oprawie 80 kop.; w opr. ozd. 1 20

Odzyskany.—W wiejskiej zagrodzie. Dwie powieści przez *M. Łopuszańską*, z 4 rycinami, w oprawie 1 — w oprawie ozdobnej w płótno angielskie 1 40

Gwiazda przewodnia. Powieść przez *J. Gould*, tłumaczenie *Zofji Hartingh*. Wydanie II, z 4 rycinami w opr. rb. 1 20; w opr. ozdob. w płót. angiels. 1 50

Wspomnienia młodej dziewczyny. Wyd. II. Opowiadanie dla panienek, podług 50 wydania *Klementyny Helm*, nap. *Z. Bukowiecka*. Z 4 ryc., w opr. rb. 1.— w opr. ozd. w płótno ang. 1 50

Hela. Opowiadanie ze świeżo przeżytych dni. Napisała *Z. Bukowiecka*, brosz. 1.20 w opr. ozdob. 1.50

Złota Elżunia, podług *E. Marlitt*, opracowała *Z. Bukowiecka*, w oprawie rb. 1; w opr. ozd. w płótno ang. 1 50

Z życia dziewczyny. Opowiadanie dla starszych panienek, nap. *S. Maszewska*, w oprawie — 60

Niespodzianki życia. Powieść dla panienek. Podług *E. Haiden*, napisała *A. Domańska*, brosz. 1.50 w opr. płóc. 2.—

POWIEŚCI I OPOWIADANIA HISTORYCZNE.

Grunwald. Powieść historyczna dla młodzieży, *W. Przyborowskiego*. Z 6 rycinami *Bagieńskiego*, w opr. kart. 1 35, w płót. ang. 1 60

Z naszej przeszłości. Wyjątki z najcelniejszych prac i opowiadań historycznych, zebrała *K. Cholewicka*, w ozd. opr. 1 60

Paziowie Króla Zygmunta. Opowiadanie obyczajowe na tle dawnych wieków, przez *A. Domańską*, z rycinami *A. Gawińskiego*, w ozd. opr. 1 80

Młody konfederat barski. Powieść historyczna przez *W. Przyborowskiego*. Z 6 ryc. rb. 1 50, w opr. ozd. 1 80

Wódz narodu. Powieść z życia *Tadeusza Kościuszki*, nap. *Jerzy Orwicz* z 6 rycinami w opr. 1.20, w ozd. opr. 1 60

młodzi gwardziści. Epizod z oblężenia Warszawy w r. 1794. Opowiadanie dla młodzieży, nap. *W. Przyborowski*, z rys. *A. Brzostka* w opr. rb. 1; w ozd. opr. 1 30

Syn Ukrainy. Powieść historyczna przez *Annę Zielińską*, z rys. *A. Gawińskiego*, w oprawie — 75

Pokora. Powieść historyczna dla młodzieży *A. Grudzińskiej*. Z 4-ma rysunkami *St. Sawiczewskiego*, w oprawie — 90

W pomroce wieków. Opowiadanie historyczne z dziejów Warszawy, *Al. Jachondowicza*. Z 6 rycinami *Zarzeckiego* 1.30

Włast, czyli pierwsi chrześcijanie w Polsce. Podług powieści historycznej «Lubonie». Opracował dla młodzieży *W. Leliwa*. Ilustracje kolorowe i ozdoby *A. Gawińskiego*, w ozdobnej oprawie 1.—

Życie dla ojczyzny. Powieść *W. Gomulickiego*, z rysunkami *St. Bagieńskiego* — —

Przez krwawe boje. Powieść historyczna z czasów *Batorego*, nap. *Ed. Jeziernski*, w opr. — —

Na dworze królowej Anny Jagiellonki. Powieść na tle historycznym *Z. Morawskiej*. — —

Starość w Syntaktyce. Opowiadanie z czasów saskich przez *M. Mossoczową* (*M. Koliskównę*). Z ilustracjami *St. Sawiczewskiego* — —

Zdobyćcie Sandomierza. Opowiadanie historyczne z roku 1809, *W. Przyborowskiego* — —

Nieznany bohater Śląski. Powieść historyczna *A. Zielińskiej*. Z rysunkami *K. Urbańskiej*. — —

Stara baśń. Powieść z IX wieku, przez *J. I. Kraszewskiego*. Streścił dla młodzieży *M. Offmański* z licznymi rysun. w opr. 1 — w ozd. opr. w płótno ang. 1 30

Czasy Jadwigi i Jagielly. Powieść na tle historycznym, przez *Terese-Jadwigę* z 6 rycinami, w opr. 1 — w oprawie ozdobnej w płótno angielskie 1 40

Na zamku Nasielskim. Opowiadanie z XVIII w. dla dorastającej młodzieży, nap. *M. Zielińska*, z 10 rysunkami, w opr. kop. 80; w opr. ozd. w płótno ang. 1 20

Sierota księżcy. Powieść historyczna z czasów *Zygmunta Augusta*, według powieści *J. I. Kraszewskiego*, streścił *St. Brzozowski*, z ilustracjami *L. Ilinicza*, w oprawie rb. 1, w ozdobnej oprawie 1 50

Branka litewska. Powieść na tle historycznym, p. *M. Zielińska*, z 4 ryc., w opr. 90; w opr. w płótno ang. 1 30

Nad wodami Bałtyku. — *Panna Marychna z Oporowa.* — *Wojewódzcy Spiski.* Trzy powieści, przez *A. Borkowską*, z rycinami, w opr.—60, w ozd. opr. w płótno ang. 1 —

Bohater z pod Spionskopu. Powieść na tle ostatniej wojny *Burów z Anglikami*. Podług *A. Wildensteina*, opracował *Wł. Umiński*, z 4 ryc. kolor. w ozd. okładce 1 20

- Tajemnicza bandera i Flibustjerowie.** Powieść na tle walki z Hiszpanami na Kubie, napisał *Wł. Umiński*, z 6 rycinami, w oprawie 1 —
- W kraju piramid.** Opowiadanie z dziejów Egiptu, podł. *Minchsanga* napisał *K. Król*. Z 4 rycin. kolor. w ozdobnej kolor. oprawie 1 —
- Olimpijczyk.** Opowiadanie z czasów Peryklesa, przez *P. O. Höckera*, tłómaczenie *M. K.*, z 7 rycin., w opr. w płótno angielskie 1 50
- Losy Cezara.** Opowiadanie z dziejów rzymskich, wedł. *P. O. Höckera*, napisał *W. Przyborowski*. Z 6 rycinami, w oprawie rb. 1; w opr. ozdobnej 1 40
- Atylla bicz Boży.** Opowiadanie historyczne wedł. *P. O. Höckera*, opracował *W. Przyborowski*, z 6 rycinami, w opr. 1 20; w opr. ozd. w płótno ang. 1 40
- Iwanhoe.** Powieść historyczna z czasów Ryszarda I-go Lwie-Serce, *Waltera Scotta*. Opracował dla młodzieży *H. Rawicz*. Z rycinami w opr. 1.—

PRZYGODY. PODROŻE. OPISY GEOGRAFICZNE.

- Przyczyny chłopca przedhistorycznego.** Zajmujące opowiadanie o bardzo dawnych czasach, p. *E. d'Hervey* z 15 rycin., w ozdobnej oprawie 1 —
- — w oprawie w płótno angielskie 1 40
- Wśród lodów i nocy.** Prawdziwe odkrycia podbiegunowe *F. Nansena*, opracowane dla młodzieży przez *Wł. Umińskiego*, z licznymi rycinami, w opr. — 75
- Władca przestworzy.** Powieść fantastyczna nap. *J. Kruk*, z rycinami — 80
- Klondyke.** Przyczyny poszukiwaczy złota; podł. *E. Bartusa*, opisał *Zb. Kamiński*, z 4 kol. ryc., w opr. 1 —
- Tajemniczy rybak.** *J. Verne*. Z oryginału francuskiego p. t. «Le pilote du Danube» przełożyła *M. Gąsiorowska*. Z 6 rysunkami, w opr. — —
- Podróż bez pieniędzy.** Oprac. *Wł. Umiński*. Wydanie drugie z 6 rysunkami w opr. — 75
- Samochodem przez Australję.** *W. Madera*. Spolszczyła *J. Bohuszeviczowa*. Z 6 rycinami, w opr. 1 20
- Samolotem naokoło świata.** Opowiadanie dla młodzieży *Wł. Umińskiego*. Z rycinami, w opr. 2 40
- Rozbitki.** Powieść *J. Verne*. Streszczona przez *S. Gębarskiego*. Z 12 rysunkami, w opr. 1.—
- Pole djamentowe.** Przyczyny dwóch przyjaciół, napisał *Wł. Umiński*. Z 4 rycin. kolor. w opr. 1 —
- — w oprawie ozdobnej w płótno angielskie 1 40

75640/3



Dodatek do Naszego Świata
MARZEC 1912